

CZYTA RYSZARD NADROWSKI

CYGANIE I PRZEMYTNIICY

"LA PENDOLA"



KAROL MAY

Z PRZEKŁADU ROBERTA RODRIGANOWICZA

1 CD MP3

7 godzin i 16 minut

KLUBO



CYTANIE
KSIĄŻKI

CYGANIE I PRZEMYTNIICY

Karol May

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Z przybyciem gości ożywił się zamek hrabiego Rodrigandy. Stary pan chętnie przebywał w towarzystwie młodych, odwiedzali go więc często. Czuł dziwną sympatię do porucznika, podobała mu się również Angielka. Oboje, jak mówił, wywierali na niego kojący wpływ.

Doktor Sternau oświadczył po kilkudniowych zabiegach, że kamienie zostały usunięte. Ponieważ hrabia czuł się dobrze, doktor postanowił przystąpić do kuracji oczu. Cały zamek cieszył się z tego, oczywiście z wyjątkiem nortariusza, seniora Clarisy i Alfonsa.

Roseta, Amy, Sternau i porucznik odbywali codzienne spacerunki po parku. Zaczynały się zwykle w czwórce, kończyły w parach. Gdy hrabia rozkoszował się na werandzie orzeźwiająjącym powietrzem, reszta przechadzała się wśród drzew i kwiatów. I zawsze obok Rosety szedł Sternau, obok Amy porucznik, na co nawet hrabia zwrócił uwagę. Mariano czuł, że kocha tę kobietę. Amy zaś uważała porucznika za wcielenie swych ideałów, nie zastanawiała się jednak, czy uczucie to jest miłością.

Tak minęło parę tygodni w spokoju niczym nie zmaconym, wśród spacerów, przejażdżek konnych, lektury książek. Mariano był doskonałym towarzyszem, tylko muzyka go nie interesowała, nie grał bowiem na fortepianie.

Pewnego wieczoru gdy Sternau był u hrabiego, a Roseta wyjechała na spacer w towarzystwie brata, porucznik znalazł się znowu w galerii i stanął przed portretem, do którego był tak bardzo podobny. Przypatrzawszy mu się do woli, wszedł do biblioteki. Ponieważ było dosyć ciemno, nie zauważył Amy, która siedziała we wnęce pod oknem. Odłożywszy książkę oddawała się marzeniom.

Gdy wszedł Mariano, nie zwróciła na niego uwagi. On zaś zbliżył się do drugiego okna i patrzył przez nie na dogorywające światło dnia.

Upłynęło kilka minut. Mariano zamierzał już wyjść, ujrzawszy jednak wiszącą na ścianie gitarę, zdjął ją z kołka, uderzył kilka akordów i zaczął grać jakiś taniec hiszpański.

Gitara jest ulubionym instrumentem w ojczyźnie Cervantesa. Wielu Hiszpanów gra na niej po mistrzowsku. Amy zdarzyło się słyszeć niejednego takiego wirtuoza, ale porucznik grał wspaniale. Dlatego też gdy skończył, wstała i klaszcząc w dłonie zawołała z zachwytem:

- Brawo, poruczniku! Cudownie! A mówił senior, że nie umie grać!

Mariano, nieco w pierwszej chwili zaskoczony, rzekł:

- Nie wiedziałem, że pani jest tutaj. A zresztą mówiłem tylko, że nie gram na fortepianie.

- Ależ pan jest mistrzem gitary.

- Muzyka jest dla mnie sztuką serca, a czy to wypada okazywać publicznie swe uczucia? Chętnie słucham koncertów, ale nie potrafiłbym grać przed nikim, aby nie wyjawiać własnych uczuć.

- Tak pan mówi o swych kompozycjach?

- Nie znam ani jednej nuty. Gram, co mi podpowie fantazja, gram tylko dla siebie, nie dla innych.

- Czy pan również śpiewa?

- Tak, czasami.

- Co pan śpiewa najchętniej?

- Nic i wszystko.

- Niech więc pan zaśpiewa jakąś pieśń miłosną.

- Musiałbym wprawdzie wyobrazić sobie kogoś, komu poświęcam swą miłość i tszej pieśń.

- Naturalnie - powiedziała zalotnie.

- A jeżeli nie znam takiej osoby?

- Czy naprawdę nie ma na świecie kobiety, dla której mógłby pan zaśpiewać?

Po chwili milczenia Mariano odparł:

- Jest jedna jedyna, o której będę myślał śpiewając.

Zaprowadził Amy do krzesła obok okna, przy którym przedtem siedziała, sam zaś usiadł na kanapie. W pokoju było zupełnie ciemno. Uderzył w struny rzewnie i miękko, po czym zaśpiewał pieśń miłosną, pełną wezbranego uczucia i tęsknoty. Gdy skończył, w pokoju zaległa przez kilka długich chwil cisza. Mariano wstał, aby powiesić gitarę.

- Co seniorka powie o mojej piosence?

- Czy pan ją zaimprovizował?

- Tak.

- Ależ senior jest prawdziwym poetą! Chciałabym się dowiedzieć, dla kogo pan tę pieśń ułożył.

- Dla pani.

Zbliżył się do niej i powiedział:

- Miss Amy! Kocham panią, ale nie wolno mi jeszcze mówić o tej miłości. Za jakiś czas znajdę panią choćby na końcu świata i zabiorę moje największe, moje najukochańsze szczęście...

Po niedługim czasie Mariano opuścił bibliotekę. Amy pozostała, płacząc ze szczęścia i radości.

Roseta oraz Alfonso też wrócili z codziennego spaceru. Po drodze spotkali listonosza, który wręczył im pocztę. Listy były niemal dla wszystkich mieszkańców zamku. Notariusz Cortejo także otrzymał z Barcelony pismo następującej treści:

"Senior!

Przed chwilą zawinąłem na mojej „La Pendoli” do Barcelony. Podróż przyniosła duże zyski. Oczekuję jak najszybszego pańskiego przybycia, gdyż chciałbym niezwłocznie znowu wypłynąć na morze.

Enrique Landola"

Corteja ogromnie ucieszył ten list. Poszedł do Clarisy i dokładnie zamknawszy za sobą drzwi oznajmił:

- Mam dla ciebie radosną nowinę.

- Mówże! Jestem bardzo ciekawa.

- Landola przybył szczęśliwie do Barcelony. Píše, że ubił doskonały interes.

- Więc pojedziesz tam?

- Nie, poproszę go, żeby przyjechał do nas. Sytuacja nie pozwala mi oddalać się stąd nawet na jeden dzień. Poza tym umówiłem się na dziś z hersztem rozbójników. Chce spotkać się ze mną o północy.

- Musimy sprawdzić, czy ten nasz porucznik przypadkowo go nie zna. Jeżeli tak, to postara się z nim zobaczyć.

- To znakomity pomysł! Będę obserwować jego ordynansa, gdyż jeśli tak jest, kapitan przede wszystkim skontaktuje się z nim.

Wyszedszy z pokoju, Cortejo akurat spotkał ordynansa porucznika, biegnącego do izby swego pana.

- To podejrzana sprawa - mruknął notariusz. - Tak biegnie tylko człowiek, który ma do przekazania nie cierpiącą zwłoki wiadomość.

Wyszedł przez bramę wjazdową. Po obydwu jej stronach rosły gęste krzewy. Położył się wśród nich na ziemi i czekał. Był to doskonały punkt obserwacyjny - sam niewidoczny, widział każdego człowieka wychodzącego z zamku do parku i do lasu.

Upłynęło ponad pół godziny, gdy usłyszał brzęk ostróg. Z bramy wyszedł porucznik de Lautreville

i rozejrzawszy się wokoło, skierował swe kroki do parku.

Cortejo wyszedł z zarośli i począł się skradać za porucznikiem. Młodzieniec podążał boczną dróżką, prowadzącą do samotnego domku.

- Aha - powiedział do siebie notariusz. - Więc tam się mają spotkać. Znam to miejsce doskonale, podslucham każde słowo.

Podszedł cicho aż pod sam domek i stanął tuż przy oknie. Po chwili usłyszał głos kapitana:

- Więc mieszkasz tutaj, na zamku?

- Tak - odpowiedział porucznik.

- Jak ci się to udało?

- Miałem szczęście albo też z twojego punktu widzenia nieszczęście uwolnić hrabiankę i jej towarzyszkę od dwóch napastników.

- Co takiego? Czy są tu jeszcze jacyś rozbójnicy poza moją szajką? Jeżeli tak, należałoby pozbyć się ich czym prędzej.

- Już załatwiłem się z nimi. Tylko że to nie byli jacyś obcy rozbójnicy, a właśnie nasi.

- Do kroćset! Któż to taki?

- Juanito i Bartolome.

- To niemożliwe! Co im zawiniła hrabianka?

- To twoja, a może ich sprawa.

- Co zrobiłeś z nimi?

- Zabiłem ich.

- Człowieku, czy to prawda?

- Najszczęśliwie.

Po chwili milczenia kapitan rzekł ze złością:

- Czy wiesz, jaką powinieneś ponieść karę?

- Tak, karę śmierci. Ale nie lękam się jej.

- Nie lękasz się? Czy sądzisz, że ci daruję, bo cię lubię?

- Żądam tylko sprawiedliwości. Czyś rozkazał tym ludziom, aby napadli na hrabiankę?

- Nie.

- W takim razie nie zabiłem ich, a po prostu ukarałem.

- Tylko ja mam prawo karać.

- Nie wiedziałem, kim są. Mieli zasłonięte twarze.

- Powinieneś być domyślić się, że to twoi towarzysze. Nastąpiła chwila milczenia. Przerwał ją porucznik:

- Nie byli w żadnym wypadku moimi towarzyszami, nie jestem bowiem członkiem twojej szajki. Przyjąłeś mnie i wychowałeś, byłem z wami długie lata, ale zapomniałeś odebrać ode mnie przysięgę. Nie jestem więc z wami niczym związany.

- Będziesz musiał złożyć przysięgę w najbliższej przyszłości.

- Niestety, nie.

- Chłopcze! - krzyknął kapitan zaskoczony tym zuchwalstwem.

- Więc taka jest twoja nagroda za dobrodziejstwa, które ci wyświadczyłem?

- Nie mów mi o dorodziejstwach - odparł porucznik z goryczą.

- Czy to poczytujesz sobie za dobrodziejstwo, że przemocą odebrałeś dziecko rodzicom i zawlokłeś je pomiędzy zbójców?

Cortejo szepnął:

- A więc to on... Wie nawet, że go porwano.

Herszt ogromnie zdumiony taką odpowiedzią Mariana, zapytał gniewnie:

- Odebrałem rodzicom? Siłą? O kim mówisz?

Mariano spostrzegł, że niepotrzebnie się zagalopował. Lepiej było zachować umiar. Ale trudno, stało się. Brnął więc dalej:

- Mówię o sobie, rozumiesz?

- Więc uważasz, że zostałeś porwany?

- Zostałem porwany i kogo innego na moje miejsce podrzucono.

- To możliwe. Ale jaką ja w tym odegrałem rolę? Znalazłem cię w lesie, ot i wszystko.

- Nie kłam. To ty sam mnie porwałeś! - zawołał Mariano z gniewem.

- Ja? Gdzie masz dowody na to? Przysięgam ci, że to nie ja porwałem cię rodzicom!

- Tak, łatwo ci przysięgać, bo nie ty mnie wykradłeś, a inny zbój z twojego rozkazu. Czy nie przypominasz sobie człowieka imieniem Tito Sertano? Pochodził z Mataro.

- Do stu tysięcy diabłów!

- A czy znasz hotel El Hombre Grande w Barcelonie? W nocy z pierwszego na drugiego października 1830 roku zamieniono w nim dziecko.

- Skąd wiesz o tym?

- To moja tajemnica.

- Żądam, byś mi odpowiedział, skąd o tym wiesz! Posłałem cię na zamek, abyś pilnował Gasparina Corteja i innych, a nie po to, byś wywlekał zamierzchłe sprawy. Dlatego chcę wiedzieć, kto ci naopowiadał tych bzdur.

- Tego się nie dowiesz.

- Zmuszę cię do wyjawienia ich!

- No, no!

- Sądzisz, że będziesz mógł mnie nie słuchać? Przerachowałeś się, serdeńko. Rozkazuję, abyś w tej chwili wrócił do naszej kryjówki!

Mariano roześmiał się i odrzekł:

- Nie spełnię rozkazu.

- To wyraźny bunt!

- Tak, najzupełniej wyraźny. Zostanę tu, i kwita. Cóż by powiedział hrabia de Rodriganda o panu de Lautreville, gdyby ten ulotnił się jak łobuz, korzystając z osłony nocy? Poza tym poboba mi się tu wszystko nadzwyczajnie i - dodał z naciskiem - mam wrażenie, że należę do rodziny hrabiowskiej.

- Czy mam cię zawlec przemocą? Albo oświadczysz w tej chwili, że będziesz mi we wszystkim posłuszny, albo zabiję cię jak psa!

- Posłuchaj naprzód, co ja ci powiem - zaczął Mariano ze stoickim spokojem. - Nie mam do ciebie żalu. Wyrwałeś mnie z mego otoczenia, z domu rodzinnego, ale przy twojej pomocy nauczyłem się wszystkiego, co mi jest niezbędne, abym zajął należne mi miejsce i spełnił przeznaczone zadanie. Dlatego wyrzekam się wszelkiej mściwej myśli, a jedynie powiadam: między nami kwita. Nie wiem jeszcze, co pocznę, ale to wiem na pewno, że do was nie wrócę. Nie potrafisz zmusić mnie do niczego siłą, bo jestem zwinniejszy i silniejszy od ciebie. Podstępu z twej strony również się nie lękam.

- Naprawdę? - usiłował szydzić kapitan. - A jeżeli powiem hrabiemu, że jesteś rozbójnikiem?

- Spyta mnie wtedy, gdzie są moi towarzysze, i będę zmuszony mu odpowiedzieć.

- Człowieku! - zasyczał kapitan.

- Bądź spokojny, mój drogi. Nie otworzę ust, dopóki i ty będziesz milczeć. Znasz mnie i wiesz, że dotrzymuję słowa. Ale przysięgi wierności nie złożyłem i jeżeli zechcecie mnie do niej zmusić siłą

czy podstępem, będę się bronił przed wami jak przed wrogiem. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

- Więc to twoje niezłomne postanowienie?

- Tak jest. Ale widzę mimo ciemności, że wyciągasz nóż, kapitanie. Nie zapominaj, że przez cały czas naszej rozmowy trzymam w ręce nabity rewolwer. Chłopiec wyrósł na mężczyznę i będzie się umiał zachować, jak na mężczyznę przystało. Do widzenia.

Po tych słowach Mariano oddalił się.

Na próżno herszt wołał go dwukrotnie po imieniu, aby zawrócił. W końcu zaklął siarczyście i rzekł swoim zwyczajem na głos:

- Zachciało mu się wolności, a to mu się nie uda. Po jakiego diabła posyłałem go na zamek?

Muszę się dowiedzieć, kto mu tę historię opowiedział.

Herszt zniknął w zaroślach, Cortejo zaś poszedł spieszenie do Clarisy, która oczekiwała go z niecierpliwością. Zastał tam również hrabiego Alfonsa. Oboje nie na żarty przeraziła wiadomość, że porucznik jest wykradzionym dzieckiem hrabiego Manuela.

- Na Boga, a więc ten człowiek przeczuwa kim jest? - zapytała Clarisa.

- Bez wątpienia - odparł Cortejo.

- Jesteśmy w takim razie na wulkanie, który w każdej chwili może wybuchnąć - rzekł Alfonso. - Trzeba tego człowieka natychmiast unieszkodliwić.

- Co przez to rozumiesz?

- Musimy go zabić, bo tylko zmarli milczą. Byłoby słabością z naszej strony, gdybyśmy się w tym wypadku wahali. A zresztą to przecież rozbójnik, zabijając go spełniamy czyn obywatelski.

Clarisa skinęła głową, ale Cortejo ciągnął bez przekonania:

- Rozumie się, że trzeba go unieszkodliwić, ale czy ma to nastąpić przez śmierć, czy też w inny sposób, o tym zadecyduje moja rozmowa z kapitanem. O północy dowiem się, jak należy postąpić.

Tuż przed północą notariusz udał się do parku. W wyznaczonym miejscu czekał na niego herszt rozbójników.

- Prosiłeś, abym tu przyszedł - rzekł notariusz. - Jestem bardzo zadowolony z tego, bo inaczej musiałbym cię szukać w górskiej kryjówce.

- O co chodzi?

- Pytasz jeszcze? Dałem ci przecież pewne polecenie, które nie zostało wykonane, ponieważ przysłałeś mi samych tchórzów.

- Nie kłam! Moi ludzie znają zbyt dobrze różnicę między kulą a sztyletem, aby z własnej woli popełnić głupstwo i atakować za pomocą sztyletu tak silnego człowieka jak doktor. Chciałeś, aby wszystko odbyło się bez hałasu i dlatego zabroniłeś ludziom strzelać. Mam rację?

- Nie. To był pomysł Bartolomea.

- Nie sil się na kłamstwo, wiem przecież, co mówię. Co ich jednak skłoniło do napadu na hrabiankę, to pozostanie dla mnie zagadką. Przypuszczam, że to nie z twojego polecenia. Jednak wina za śmierć zabitych w parku tylko na ciebie spada. Musisz mi zapłacić od każdego zabitego po dwieście duros, dopiero wtedy pogadamy.

- Tego nie możesz ode mnie żądać!

- Pracowali dla ciebie, musisz więc za nich zapłacić. Przysięgam, że nie ustąpię ani trochę. Znasz mnie chyba i wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

Notariusz milczał przez chwilę, wreszcie powiedział z pewnym wahaniem.

- Może zgodziłbym się na twoje żądanie, gdyby przy okazji sprzątnięto jeszcze kogoś, kto mi stoi na drodze.

- Kto to taki?

- Oficer.
- W jakim służy garnizonie?
- W żadnym. Jest na urlopie. To nie Hiszpan, lecz Francuz.
- Gdzie przebywa?

- Tu, na zamku.

- A jak się nazywa?

- Alfred de Lautreville.

- Alfred de... - mruknął herszt. - Nie znam takiego.

- Mam nadzieję, że go nie znasz - rzekł z ironią notariusz. - Ale powinieneś mieć z nim na pieńku.

To on zabił Juana i Bartolomea. Czy puścisz to płazem?

- O, co to, to nie! Ale dlaczego chcesz się go pozbyć?

- Powiedziałem już: stoi mi na drodze. No cóż, podejmiesz się tego? Jeżeli nie, znajdę innych.

- No, no, chciałbym to widzieć. Ten Francuz należy do mnie, ponieważ zabił dwóch moich ludzi.

Kto mi wejdzie w drogę, będzie miał ze mną do czynienia. Zrozumiano?

- Czy to ma znaczyć, że tego łajdaka otoczysz szczególną opieką?

- Nie, to znaczy, że zemszczę się na tym łotrze. Ale najpierw muszę go unieszkodliwić.

- Innymi słowy, ma umrzeć?

- Nie. Ale ręką słowem, że nie będzie wam już w niczym przeszkadzał.

Notariusz przejrzał zamiary rozbójnika. Nie dając jednak nic po sobie poznać, rzekł:

- Dobrze. Dam za każdego zabitego po dwieście duros, jednakże lekarz musi umrzeć, a Francuz zniknąć.

- Zgoda. Ale dopłacisz jeszcze pięćset za doktora i tyleż samo za Francuza.

- Jesteś łotrem.

- Trudno, muszę dbać o siebie i swoich ludzi.

- Zapłacę po robocie.

- Dasz zaraz, przynajmniej połowę.

- Nie mam w tej chwili, zapłacę później. Jeżeli ci się nie podoba, będę zmuszony zrezygnować z twoich usług.

- W porządku, ustępuję - rzekł kapitan.

- A kiedy wykonasz zadanie?

- Niezadługo. Trudno określić dzień. To wszystko? W takim razie dobrej nocy.

Po tych słowach rozstali się.

Notariusz uśmiechnął się szelmowsko i rzekł do siebie:

- Sądziłeś, stary oszuście, że mnie wykiwasz, ale się nie udało. Teraz ja kieruję całą sprawą.

Następnego dnia rano Elvira przyniosła kawę do pokoju Sternaua.

- Dziękuję za kawę, nie wolno mi jej pić. Proszę o szklankę mleka - powiedział Sternau.

- Co się stało? Czy się pan źle czuje?

- Nie. Ale czeka mnie dziś praca, wymagająca dużego skupienia i opanowania, a kawa, jak wiadomo, na nerwy niezbyt dobrze wpływa.

- Musi to być ważna sprawa.

- O, tak. Niech seniora prosi Boga, aby wszystko poszło dobrze. Będę dziś operować oczy hrabiego Manuela.

Elvira wypuściła z rąk tacę z całym nakryciem do śniadania i załamała ręce.

- Czy to prawda?

- Tak, tylko co to ma wspólnego z tacą?

- Nie mogłabym przecież załamać rąk, gdybym nie wypuściła z nich tacy.

- Szkoda, że pani nie postawiła jej na stole. Niech seniora powie mężowi, że na zamku musi panować zupełny spokój. Zaraz po operacji zasłonimy okna w pokoju hrabiego. Proszę pomówić o tym z condesą. A teraz rad bym się napić mleka.

- Zaraz przyniosę. Co powie mój Juan, kiedy dowie się o operacji? Biegnę, śpieszę, pędzę! Niech panu Bóg pomaga.

Zostawiwszy stłuczone naczynia, wytoczyła się z pokoju. Gdy Sternau w jakiś czas potem wszedł do salonu, zarzucono go pytaniami:

- Czy to prawda, że dziś odbędzie się operacja hrabiego?

- Tak.

Podszedł do niego Alfonso i z ponurą miną rzekł:

- Żądam, by pan się jeszcze namyślił nad całą sprawą. Czy jest pan przekonany, że operacja się uda?

- Przekonany nie jestem, lecz mam nikłą nadzieję.

- W tak ważnej sprawie nadzieja nie wystarczy. Czy jest pan w tym wypadku w zgodzie ze swym sumieniem?

- Tak - odpowiedział Sternau mocno i stanowczo.

- W takim razie żądam jako syn chorego, aby przy operacji asystowało jeszcze kilku innych, wybitnych lekarzy.

- Nie mam najmniejszej ochoty na powtarzanie scen, których byłem świadkiem. Dla mnie liczy się tylko wola i życzenia jego ekscelencji hrabiego Manuela.

- Chcę zauważyć, że i ja mam tu coś do powiedzenia.

- Uważam, że głos pełnomocnika hrabiego też coś powinien znaczyć - dodał Cortejo.

Sternau odparło dobitnie:

- Moi panowie, w tych sprawach decyduje wyłącznie lekarz. Rozpoczynam operację za dziesięć minut. Proszę, aby mi nie przeszkadzano.

- Zobaczymy jeszcze - powiedział Alfonso.

- Tak, zobaczymy. Zwracam uwagę panów, że najmniejsza irytacja może być dla hrabiego niebezpieczna i panowie będą odpowiadali za to.

- Będziemy obecni przy operacji - upierał się Alfonso.

- Potrzebuję pewnej pomocy. To jednak moja rzecz, kto będzie mi asystował. Mam wrażenie, że są tu osoby, które niezbyt pragną, aby hrabia wrócił do zdrowia. Hrabianko Roseto, czy mogę prosić panią o asystowanie przy zabiegu?

- Niech pan dysponuje moją osobą.

- Nie wiem jednak, czy sił pani starczy. Może panna Amy zechce pani pomóc?

- Jak najchętniej - odparła Angielka.

- A ja? - zapytała Clarisa.

- Nie śmiem pani trudzić - rzekł Sternau krótko i chłodno.

- Nerwy pani nie wytrzymałyby tego. Przecież omal nie zemdląła pani na widok małej ranki. Co by to było przy prawdziwej operacji?

- Ale ja muszę być obecny - powtórzył Alfonso.

- To zbyteczne, nie potrzebuję widzów. Mam jeszcze małą prośbę do pana porucznika.

- Jestem do usług.

- Czy zna pan okna, należące do pokoju hrabiego?

- Tak.

- W takim razie proszę pana bardzo, aby pan zechciał przechadzać się pod nimi podczas operacji.

Wtedy będę miał pewność, że żadne niebezpieczeństwo od zewnątrz nie grozi.

- Spełnienie pana prośby to dla mnie zaszczyt - skłonił się Lautreville.

- To mi dopiero zaszczyt - roześmiał się zgryźliwie Alfonso. - To wstyd i hańba być psem podwórzowym pierwszego lepszego lekarza!

- Czy pan odwoła natychmiast te słowa?

- Nie. Powtarzam raz jeszcze: to wstyd i hańba!

- Dobrze, w takim razie żądam odpowiedzi, na jaką dżentelmen zasługuje.

- Pan dżentelmenem? Pan przecież jest...

Nie mógł dokończyć, gdyż notariusz położył mu rękę na ustach.

- Ależ, hrabio, tu nie miejsce i pora na tego rodzaju rozmowy.

- I ja jestem tego samego zdania - rzekł Sternau. - Jeżeli panu potrzebny sekundant, panie poruczniku, jestem do pańskich usług. A teraz moje panie i pan, poruczniku, proszę za mną.

Wszyscy czworo odeszli w milczeniu.

Zaczekawszy, aż się całkiem oddalą, notariusz powiedział:

- Omal nie zdradziłeś się przed nim.

- Nic byśmy nie stracili na tym! - pinił się Alfonso. - To dopiero byłaby rozkosz zobaczyć twarze ludzi, gdyby się dowiedzieli, że to zwykły rozbójnik!

- Oszalałeś! Zapominasz, że mógłby opowiedzieć coś, co zniszczyłoby nas zupełnie. Porucznik nie tylko przeczuwa, kim jest, ale wie o tym dobrze. Stara się tylko wybadać, kim ty właściwie jesteś. Moja w tym głowa, aby go unieszkodliwić.

- I Sternaua, i Sternaua - domagała się Clarisa - zachowuje się tak, jakby był panem zamku.

- Mimo wszystko przeszkodzimy mu w uzdrowieniu hrabiego - zapewnił Cortejo. - Sam przecież powiedział, że najmniejsze zdenerwowanie może zaszkodzić hrabiemu. Postaramy się już, aby zdenerwowanie to nie było najmniejsze.

Doktor Sternau wszedł w otoczeniu obu pań do pokoju hrabiego. Poleciwszy służącym, aby pilnowali drzwi, zamknął je od wewnątrz.

- Kogo to pan jeszcze przyprowadził, doktorze? - zapytał uprzejmie hrabia, słysząc kroki.

- Hrabiankę i pannę Amy, które mi będą pomagać.

- Dziękuję panu za to, doktorze. A gdzie mój syn?

- Musiałem mu, niestety, zabronić wstępu.

- Czy panie będą miały dosyć siły, żeby wytrwać?

- Hrabia może być zupełnie spokojny. Czy jego eskcelencja zechce mi powiedzieć, w jakim jest nastroju? Jak się czuje?

Hrabia odparł z uśmiechem:

- Z wiarą w Boga składam mój los w pańskie ręce. Śniło mi się, że pan otworzył mi oczy, a sen jest często zwiastunem rzeczywistości. Widziałem w nim twarz mego dziecka, ale to nie był Alfonso, tylko obcy człowiek, którego mowy nie rozumiałem. Dziwne, prawda? Słyszę jakieś dźwięki, co to takiego?

- To moje instrumenty.

- Nie boję się ich, gdy są w pańskich sprawnych rękach, które tak polubiłem i którym ufam bez zastrzeżeń. Kiedy zaczniemy?

- Zaraz.

Sternau zamienił kilka zdań z paniami, ustawił odpowiednio łóżko chorego, po czym podszedł do okna. Roseta objęła ojca ramieniem i szepnęła mu do ucha, powstrzymując łzy:

- Ojciec, on się modli.

Porucznik, który chodził pod oknami na polecenie Sternaua, również złożył ręce i szeptał:

- Boże, bądź miłościwy. Przywróć choremu światło, a będę cię czcił i wielbił. Amen.

Może w pół godziny po udaniu się Mariana pod okna pokoju hrabiowskiego Alfonso wyszedł z zamku. Ubrany był w strój myśliwski, prowadził na smyczy dwa psy. Służba nie mogła się nadziwić, że młody hrabia w czasie groźnej operacji ojca myśli o polowaniu. Przechodząc obok porucznika, Alfonso zobaczył na wierzchołku drzewa wronę. Zdjął więc strzelbę z ramienia i zaczął celować.

- Doskonały cel. Pluto, Polluks, aport!

Już miał wystrzelić, gdy Mariano skoczył na niego, chwycił jedną ręką za gardło, drugą zaś wytrącił mu strzelbę. Hrabiemu pociemniało w oczach, padł na ziemię. Na widok tej sceny nadbiegła służba, wśród której znajdował się rządca.

- Chciał strzelać - biadał Alimpo. - Chciał przeszkodzić doktorowi w operacji. To samo mówi moja Elvira. Cóż z nim zrobimy? Czy żyje?

- Tak, stracił tylko przytomność.

- Szkoda byłoby panicza - dodał Alimpo tonem, który zdradzał, że co innego mówi, a co innego myśli.

- Już ja się nim zajmę i postaram się, żeby nie przeszkadzał - rzekł Mariano.

Wziął Alfonsa na ręce i zaniósł do piwnicy, którą zamknął na klucz. Włożywszy go do kieszeni, wrócił na swój posterunek.

Po jakimś czasie hrabianka wezwała Elvirę do pokoju hrabiego. Stary pan siedział w głębokim fotelu. Sternau przewiązywał mu oczy opaską.

- Proszę teraz zasłonić wszystkie okna - powiedział. - Dotychczas potrzebne mi było światło, teraz trzeba nawet ściany zasłonić.

W pokoju unosił się zapach chloroformu. Twarz hrabiego była trupio blada. Zapytał cichym głosem:

- Doktorze, czy się udało? Czy mogę mieć nadzieję?

- Tak. Ale musi hrabia być zupełnie spokojny. Jutro będzie można powiedzieć coś więcej.

Chory westchnął.

Roseta wyszeptała do doktora tak, aby ojciec nie słyszał:

- Niech mi pan powie szczerze, operacja się udała? Odpowiedział również szeptem:

- Tak, udała się.

- Więc odzyska wzrok?

- Tak, ale chwilowo ani słowa więcej. Radość mogłaby obrócić wniwecz moje zabiegi.

Hrabianka nie mogła zapanować nad sobą. Mimo obecności przyjaciółki i Elviry pocałowała Sternaua w same usta. Zaskoczona tym Elvira omal nie krzyknęła. Opanowała się jednak. To dopiero ucieszy się mój Alimpo, gdy mu opowiem całą historię - pomyślała. Miss Amy była również zdumiona.

Sternau wyszedł na chwilę z pokoju, by pomówić z porucznikiem.

- Więc już po wszystkim doktorze? - zapytał Mariano. - Nie pytam wcale, czy operacja się udała, mówią mi o tym pańskie radosne oczy.

- Wszystko poszło lepiej, niż się spodziewałem. Ale co to za strzelbę trzyma pan w ręce?

- Odebrałem ją Alfonsowi.

- Co się stało? Niechże pan mówi.

Porucznik opowiedział, co zaszło. Sternau słuchał z wzrastającym oburzeniem.

- Co za bydlę! - zawołał. - Wprost wierzyć się nie chce, że tak postępować może syn wobec ojca.

Mariano jak gdyby chciał coś wyjaśnić, powstrzymał się jednak. Sternau zapytał:

- Cóż pan teraz robi z tym człowiekiem?

- Pan chyba najlepiej wie, czy może on jeszcze szkodzić.

- Gdyby był strzelił, hrabia obudziłby się mimo narkozy i sprawa mogłaby się źle skończyć. Ale teraz... Chodźmy do niego, pomówię z nim.

Zeszli do piwnicy. Alfonso usłyszawszy kroki, stanął przy drzwiach. Gdy weszli, chciał się rzucić na Mariana, ale Sternau chwycił go za ramię tak mocno, że nie mógł się ruszyć.

- Zbóje, bandyci! - krzyczał w bezsilnej wściekłości.

- Może pan wymyślać, ile się panu podoba - rzekł Sternau. - Taki człowiek jak pan nie jest w stanie nas obrazić. Odzyska pan wolność, ale przedtem muszę z panem porozmawiać.

- Idźcie precz, łotry! Każę was wyrzucić.

- Tylko spokojnie, mój drogi. Musi pan wysłuchać.

- Więc słucham! - wrzeszczał Alfonso.

- Muszę seniorowi powiedzieć, że zachowanie pańskie jest mi bardzo podejrzane. Oświadczam, że o ile zbliży się pan do swego ojca bez mojego pozwolenia albo zechce uczynić cokolwiek, co mogłoby hrabiemu zaszkodzić, oddam pana w ręce sprawiedliwości.

- Ależ proszę bardzo! Później każę was obu za to wychłostać.

Tego już było porucznikowi za wiele. Chciał wprawdzie zachować swą tajemnicę, ale nie mógł się dłużej opanować. Grożąc więc Alfonsowi pięścią, zawołał:

- Człowieku, jeszcze jedno słowo, a zabiję cię! Czy uważasz, że sąd nic nie zrobi ani tobie, ani twoim kochanym rodzicom? Prokurator niechaj rozstrzygnie, czy jesteś naprawdę hrabią, czy oszustem. Precz, nicponiu!

Po tych słowach zadał Alfonsowi taki cios, że ten aż poleciał pod ścianę. Po chwili jednak wstał i uciekł schodami na górę.

- Co pan powiedział? Ten człowiek nie jest synem hrabiego Manuela?

Mariano zamiast odpowiedzieć zapytał:

- Czy umie pan milczeć?

- Tak.

- Czy chce pan zostać moim przyjacielem?

- Oto moja ręka.

- Proszę w takim razie o zachowanie w tajemnicy tego, co pan tu słyszał przed chwilą.

- Dobrze, będę milczał, ale do czasu. No, teraz muszę iść do chorego, aby mnie nie uprzedził Alfonso i nie wymyślił czego.

Alfonso pobiegł wprost do Clarisy.

- Matko - zawołał - poślij natychmiast po ojca! Stało się coś niesłychanego!

Clarisa zerwała się z krzesła jak oparzona.

- Dlaczego tak krzyczysz, mógłby cię kto usłyszeć?! Co się stało?

- Coś niesłychanego, zuchwalstwo bezgraniczne!

Ponieważ służącej nie było w pobliżu, Alfonso poszedł sam po notariusza, sprowadził go do pokoju i opowiedział całe zajście.

- Co mam robić? Co mam robić?! - wybuchnął na koniec. Notariusz odparł ostro i stanowczo:

- Musisz milczeć jak grób. Popełniłeś wielki błąd. Kto ci kazał strzelać pod oknami hrabiego, co? Narażasz nas i siebie. Tu może pomóc tylko kapitan Landola, jadę więc do Barcelony. Przed chwilą otrzymałem od niego telegram, że przybyć nie może, ponieważ musi być obecny przy wyładowywaniu bagażu.

- Kiedy jedziesz? - zapytała Clarisa.

- Za jakieś pół godziny. Ale wymagam posłuszeństwa. Alfonso, jeżeli w dalszym ciągu będziesz nieostrożny, przestanę się tobą zajmować. Zrozumiałeś, mój chłopcze?

Tego Alfonso się nie spodziewał. Ojciec nie mówił do niego w ten sposób jeszcze nigdy. Wyszedł więc z pokoju, nie rzekłszy ani słowa.

W trzy dni później Sternau spacerował z porucznikiem po parku. Od czasu operacji nie opuszczał pokoju hrabiego, dlatego teraz z wielką przyjemnością rozkoszował się świeżym powietrzem.

Spotkali Elvirę, która zrywała kwiaty.

- Dzień dobry! - zawołała. - Proszę zobaczyć, co za cudowne róże. Dziś trzeba ściąć najpiękniejsze, tak powiada mój Alimpo.

- Cóż za niezwykły dzień? - zapytał Sternau.

- Jak to? Pan nie wie? Dziś przecież imieniny naszej drogiej hrabianki. Wstała wcześniej. Hrabia Manuel też już się zbudził i polecił mi przynieść najwspanialsze róże dla condesy.

- Nic mi o tym nie mówił.

- Podarunki przysły wczoraj. Niech pan pójdzie ze mną, ułożymy kwiaty.

Gdy wszystko zostało przez Elvirę i doktora przygotowane w pokoju hrabiego, posłano po Rosetę. Sternau chciał wyjść, ale hrabia zatrzymał go.

- Niechże pan zostanie, doktorze, będę miał podwójną przyjemność.

Hrabianka weszła. Była ubrana w skromną białą suknię. Zobaczywszy podarunki i kwiaty, podziękowała ojcu serdecznie.

- Elvira powiedziała mi, że i pan przyłożył się do tej miłej niespodzianki. Dziękuję panu - rzekła do doktora.

Sternau ucałował jej dłoń ze słowami:

- Ależ to drobnostka. Jeżeli pani jednak pozwoli, to uczczę dzień dzisiejszy czymś, co powinno sprawić pani głęboką radość.

Z rumieńcem na twarzy powiedziała:

- Każdy dar z pańskiej ręki, choćby najmniejszy, będzie dla mnie drogi.

- W takim razie spróbuję. W imię Boże! Podeszedłszy do hrabiego, poprosił:

- Proszę się odwrócić od okna, ekscelencjo. Ostrożnie i powoli zdjął mu opaskę.

- Czy hrabia widzi swą córkę?

Pytanie brzmiało tak uroczyście, że hrabia nie miał jeszcze odwagi otworzyć oczu. Stał przy stole pełnym kwiatów i szeptał:

- Boże, bądź miłościw.

Drżąc, otworzył powoli oczy. Po krótkiej chwili wyciągnął ramiona, postąpił kilka kroków naprzód i zawołał:

- Wielki Boże, a więc to prawda... to nie sen... widzę! Doktorze, więc to naprawdę nie sen?

- Nie, to rzeczywistość.

Roseta rzuciła się w objęcia ojca. Pod wpływem doznanego wrażenia hrabia osunął się bezwładnie na kanapę i zamknął powieki.

- Zemdlął! - zawołała Roseta. - Gotów znowu stracić wzrok.

- O nie - szepnął hrabia, który już przyszedł do siebie. - Czuję znowu, że mogę je otworzyć.

Roseta płakała z radości, całowała ojca, objęła Sternaua, nie krępując się z obecnością hrabiego. Hrabia nie spuszczał z niej wzroku. Tulił ją do siebie, nazywając najśłodszymi imionami. Wreszcie zwrócił się do doktora:

- W tej bezmiernej radości zapomniałem o panu. Niech pan podejdzie bliżej, bym mógł na własne

oczy zobaczyć mego dobroczyńcę.

Sternau podszedł do hrabiego i podał mu rękę. Hrabia nie mówiąc ani słowa, patrzył długo na niego.

- Tak - rzekł wreszcie - tak sobie pana wyobrażałem. Nigdy nie potrafię się panu odwdziaczyć, ale proszę pamiętać, że do końca życia będę pana dłużnikiem.

Po tych słowach objął go i ucałował jak własne dziecko.

- A teraz chciałbym zobaczyć pozostałych - poprosił.

- Później - powiedział doktor. - Musi pan odpocząć.

- Czy nie mogę teraz zobaczyć mego syna?

- Nie - odparł Sternau, któremu nagle pewna myśl przyszła do głowy. - Wszystkich pozostałych zobaczy hrabia o zmroku, gdy promienie słoneczne nie będą już tak silne. Proszę bardzo i tym razem być mi posłusznym.

- Cóż robić, słucham pana. Ale niechaj radość nie będzie tylko moim udziałem. Postaraj się o to, Roseto, aby cały zamek się cieszył. Niech dzisiaj będzie wielkie święto. Niechaj każdy przedstawi tobie swe życzenie, a postaram się spełnić każde. Pracownicy moi otrzymają dziś dodatkową pensję miesięczną.

Przerwał na chwilę, zamyślił się, po czym zapytał lekarza:

- Czy ma pan krewnych?

- Mam matkę i siostrę.

- Gdzie mieszkają?

- W Moguncji.

- Czy uważa pan, że mogę czytać?

- Teraz jeszcze hrabia nie powinien.

- A czy mogę napisać kilka słów?

- Czy to konieczne?

- Tak.

- W takim razie proszę, ale naprawdę tylko parę słów. Hrabia podszedł do biurka, wyjął kartkę papieru, coś na niej napisał, a potem złożył i podał córce ze słowami:

- Roseto, poproś doktora, aby słowa te na pamiątkę dnia dzisiejszego przyjął nie ode mnie, lecz od ciebie, i nie dla siebie, lecz dla swej matki i siostry. To, co uczynił, przerasta wszelką cenę, ale matce jego i siostrze możemy powiedzieć, jak bardzo go kochamy i jak mu jesteśmy wdzięczni.

Roseta wzięła wręczony przez ojca papier i podała lekarzowi. Ale Sternau nie chciał przyjąć. Powiedziała więc:

- Nie powinien pan tego odrzucać, bo należy do kogo innego. Gdy i teraz Sternau nie chciał ustąpić, podeszła do niego bliziotko i wkładając mu kartkę w rękę, wyszeptała:

- Carlosie, błagam, przyjmij.

Nie mógł się dłużej opierać. Wróciwszy do pokoju stwierdził, że ma w ręku czek na 25 000 srebrnych piastrów. Było to honorarium iście hrabiowskie.

Ponieważ Sternau wyszedł nagle z pokoju, Roseta przekonana, że poczuł się urażony, zwróciła się do hrabiego:

- Czy wiesz o tym, ojcze, że go dotknąłeś?

- Nie sędzę, dziecinko. Przecież tu nie chodzi o pieniądze, a o moje dla niego uczucie. Nie mogłem postąpić inaczej, serce moje po brzegi wypełnia wdzięczność. Pieniądze, które mu dałem, to nie honorarium, nie zapłata. Powiedz mu wyraźnie, że wszystko co mam, do niego należy. A teraz idź i wydaj zarządzenia, aby uczczono ten dzień uroczystie jako wyjątkowe święto.

„POHON UPAS”

Gasparino Cortejo przybył do Barcelony. W porcie stał wśród innych statków trójmasztowiec „La Pendola”, co znaczy „piórko” albo „wahadło”. Człowiekowi nieobeznanemu z żeglugą mogłoby się wydawać dziwne, dlaczego tak nazwano ów wielki i ciężki statek, ale marynarz zrozumiałby to od razu. Miał on bowiem konstrukcję tego typu, że mógł osiągnąć tak niezwykłą szybkość, że jak piórko płynął po falach. Statki takie łatwo ulegają awarii albo - jak się to mówi w języku marynarskim - łatwo łamią kręgosłup. Trzeba szczególnej umiejętności, aby nimi kierować.

Landola zamknął się z notariuszem w kajucie. Cortejo siedział nad plikiem papierów i rachunków, które tylko co sprawdził. Odłożywszy pióro, rzekł:

- Jestem z pana zadowolony. Na moją część przypada trzydzieści tysięcy duros. Nie spodziewałem się tym razem takiego zarobku.

Kapitan zapytał chłodno:

- Czy mam wypłacić pieniądze zaraz, czy też zostawi je senior w interesie?

- Zostawię.

- Doskonale. Czy jest tu jeszcze jakaś sprawa?

- Czy nie potrzebuje pan marynarza?

- Przydałby się. A co to za człowiek?

- Taki, którego mógłby pan zgubić po drodze.

- Aha, zgubić w wodzie, nieprawdaż? - Landola uśmiechnął się znacząco.

- Wszystko jedno gdzie, może go pan zostawić nawet na lądzie. Człowiek ten w żadnym wypadku nie powinien jednak wrócić do Hiszpanii.

- Podobnie jak wtedy don Fernando de Rodriganda?

- Ciszej... - zasyczał notariusz. - Gotów nas ktoś podsłuchać. Proszę nie wymieniać tego nazwiska. Przecież don Fernando umarł...

- Tak, zginął. Na to mogę przysiąc. Kimże jest ten nowy marynarz?

- Udaje oficera, a jest awanturnikiem.

- Świetnie, takich ludzi najzupełniej sobie chwale. Gdzie on jest?

- Na zamku Rodrigandów.

- Aha. Jak go pan tutaj dostarczy?

- Będzie go senior musiał sam sprowadzić.

- Dobrze. Czy silny?

- Bardzo.

- I dzielny?

- Jeszcze bardziej.

- Czy będzie się bronił?

- Jestem tego pewien.

- No, jakoś dam sobie radę. Ile za to dostanę?

- A ile pan żąda?

- Trzysta duros za potajemne wykradzenie bez hałasu i bez możliwości powrotu.

- Zgadzam się, choć wiem, że otrzyma pan za niego ogromną sumę. Proszę te trzysta duros potrącić z należnych mi pieniędzy. A dokąd go pan zawiezie?

- Tego jeszcze nie wiem, może na Borneo, a może na Celebes. Malajczycy dają tam dużo pieniędzy i drogich kamieni za białych, których zabijają na ofiarę bogom i przodkom.

- Dobry z pana gagatek, kapitanie. Kapitan uśmiechnął się jadownicie:

- No, panu również na cnocie nie zbywa. Mniejsza jednak o to. Kiedy mam zabrać tego marynarza?

- Czy może pan być na zamku jutro wieczorem?

- Dobrze, przyjadę powozem. Gdzie mam się zatrzymać?

- Wyjdę na spotkanie. Niech się pan postara być punktualnie o dziesiątej na granicy wsi i zamku.

- Wstępne przygotowania oczywiście zostawiam panu. Musi to

być niezwykle człowiek, jeżeli pan się tak zajął tą sprawą. Ale czy nie uważa senior, że kropelka trucizny podziałałaby skuteczniej?

- Nienawidzę trucizny. Środek niepewny i zdradziecki.

- Niepewny? Cha, cha, cha! Znalazłem nowy rodzaj trucizny. Wspaniały!

Otworzył szafkę umieszczoną w ścianie kajuty, odsunął na bok masę ciężkich rulonów złota i wyciągnął zeszyt, którego pismo świadczyło, że pochodzi sprzed wielu, wielu lat. Okładki ani tytułu zeszyt nie miał. Położył go przed sobą.

- Bezcenna rzecz- powiedział. - Odkupiłem ją od pewnego starego marynarza niemieckiego; są w niej wszystkie możliwe recepty i trucizny.

Po tych słowach wskazał następujące miejsce, zapisane gotykiem:

Przepis uczony na śmierć i szaleństwo

Wziąć garnczek soku antiaris toxicaria, do tego pół garnczka strychnos tiuete, jako że tak się zwie orzech jawajski, następnie ćwierć garnczka soku alpina galanga i tyleż zingiber cassamumar, imbirem trującym zwanego.

Wszystko razem uwarzyć i wlać do flaszki. Pięć kropli mikstury śmierć na człowieka naprowadza niechybną, dwie zaś mieszają zmysły tudzież pamięć odbierają.

Z szalów owych uzdrawiać godzi się jako następuje: Bierze się garnczek capsium, „białymi porzeczkami” zwanego, a przydaje do nich pół dzbanuszka śliny człowieka, którego łaskotano póty, aż mu piana z ust poszła. Owo zmieszane spodem przez dni siedem stać musi w słoju, zaczem dolewa się łyżkę octu ostrego. Dwie krople owego remedium zmysły w ciągu dni trzech przywracają.

Wszystko, co wyłożone, przygotować można tylko w Azji, gdzie doświadczane bywało na niektórych z czarnego ludu Nigerów lub na żółtych Malajczykach bądź też na innych dzikich narodach.

- Pan rozumie to pismo? - zapytał notariusz.

- Tak. Znam się trochę na starej pisowni.

- Niech więc mi to pan dokładnie wyłoży. Kapitan spełnił prośbę. Gdy skończył, Cortejo spytał:

- Ma pan tę miksturę? Czy mogę dostać parę kropel?

- Dla kogo? Przecież chyba nie dla tego człowieka, którego miałem zabrać na statek?

- Nie.

- Ależ to diablo drogie. Kropla kosztuje pięć duros.

- Do diaska! A czy mogę być pewny skutków?

- Zaręczam słowem honoru.

- Proszę o dziesięć kropel.

- Dobrze. Czyni to razem pięćdziesiąt duros.

- Niech pan odpisze z mego rachunku.

Kapitan podszedł do szafki i odławszy do flaszeczki dziesięć kropel, wręczył ją notariuszowi

mówiąc:

- To wystarczy, aby zabić dwóch ludzi, a pięciu przyprawić o obłąd. Mam nadzieję, że będzie pan ze mnie zadowolony. Rozmowa ta toczyła się na drugi dzień po przyjeździe notariusza do Barcelony. Trzeciego dnia - tego samego, w którym hrabia odzyskał wzrok i który ogłoszono świętem, Cortejo wrócił. Jadąc przez wieś, dziwił się wielce, że wszyscy są ubrani odświętnie. Usłyszawszy o przyczynie powszechnej radości, udał się natychmiast do Clarisy.

Późnym popołudniem Sternau i Roseta siedzieli w pokoju hrabiego. De Rodriganda nalegał, aby przywołano do niego syna. Sternau, choć nie chcąc, postanowił spełnić wolę pacjenta.

- Poślę po niego - rzekł, wychodząc do przedpokoju. Tam polecił słuzącemu:

- Niech tu przyjdą hrabia Alfonso i porucznik de Lautreville. I niech wejdą do pokoju jednocześnie.

Mariano nie miał pojęcia o planie doktora. Nie był dziś odziany w mundur, lecz w zwykowne ubranie cywilne. W przedpokoju spotkał się z Alfonsem, który udał, że go nie dostrzegła.

Hrabia Manuel zdjął z oczu opaskę i niecierpliwie czekał na syna.

Gdy Alfonso i porucznik weszli do pokoju, spojrzenie hrabiego padło najpierw na Alfonsa, po chwili jednak skierował je na porucznika i podchodząc do niego zawołał:

- Synu mój, widzę cię nareszcie! Chodź, niech cię uściskam! Porucznikowi krew uderzyła do głowy, opanował się jednak.

Jakże chętnie padłby w objęcia tego starca! Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ubiegł go Alfonso:

- To pomyłka, ojcze! To ja jestem hrabią Alfonsem.

Hrabia Manuel popatrzył na niego ostro i powiedział:

- Kto tu śmie stroić ze mnie żarty!? Pan nie jest moim synem.

- Ależ ojcze, czy nie poznajesz mego głosu?

- Znam ten głos, ale już wtedy, gdy go usłyszałem po raz pierwszy, nie chciałem wierzyć, że to głos mego syna. Kim jest ten drugi młodzieniec?

- To porucznik de Lautreville - odrzekł Sternau.

- Porucznik de Lautreville, czy to prawda?

W duszy Mariana toczyła się walka. Odparł jednak:

- Tak jest, ekscelencjo.

Hrabia wydał głębokie westchnienie podobne do jęku. Odwróciwszy się od Alfonsa i porucznika, osunął się na fotel. - Roseto, powiedz obu panom, że mogą odejść. Niechaj tylko doktor Sternau pozostanie przy mnie.

Alfonso i Mariano odeszli.

Alfonso udał się do pokoju Clarisy, w którym oczekiwał go również Cortejo. Notariusz zapytał niecierpliwie:

- No i co?

- Nie chce mnie znać. Pragnął uściskać porucznika.

- Porucznik był razem z tobą?

- Tak.

- Do licha! Czyżby to było zaplanowane? Jak się hrabia zachował wobec niego?

- Jak wobec własnego syna.

- A gdy wyprowadziłeś go z błędu?

- Wtedy kazał nam obu wyjść z pokoju. Sternau został przy nim.

- Czyżby ten przeklęty doktor coś przeczuwał, coś może widział? Chwała Bogu, że dziś to się

skończy. Jutro byłoby może za późno.

- Co się ma dzisiaj stać? - dopytywała się Clarisa.

- Dowiedcie się o tym później. Idźcie wcześniej na spoczynek i nie martwcie się o nic.

Przed dziesiątą Cortejo opuścił zamek i przybył na umówione miejsce, gdzie go już oczekiwał Landola. Obok kapitana stał powóz, przy nim sześciu krzepkich marynarzy. Jeden z nich pozostał przy koniach, reszta zaś poszła za kapitanem w kierunku zamku.

- Co mamy robić? - zapytał Landola.

- Cała służba bawi się we wsi - objaśnił notariusz. - Porucznik jest tam również. Widziałem jak poszedł. Przejdziecie przez tylne drzwi do jego pokojów, nie są zamknięte. Ukryjcie się w sypialni, a kiedy wróci, obezwładnicie go.

- Łatwo powiedzieć! Ale jak stamtąd wyjdziemy?

- Tą samą drogą. Zaczekacie, aż przyjdę po was.

Zrobili jak Cortejo polecił. Mieszkanie porucznika tonęło w ciemnościach. Dostali się tam bez problemu i ukryli się.

Sternau i Roseta byli u hrabiego, a lady Amy zaproponowała porucznikowi spacer po wsi. Tam zaszli do miejscowej gospody, zwanej ventą, gdzie przy dźwiękach fletu i cytry ochoczo tańczyły pary wieśniaków, po czym wrócili na zamek. Przed pożegnaniem Angielka zapytała:

- Czy pana coś dręczy, poruczniku?

- Tak, pani - odparł Lautreville po chwili milczenia.

- Czy mógłby mi pan to wyjawić?

- Nie teraz.

- Nie ma pan do mnie zaufania?

- Ależ przeciwnie. Są jednak sprawy, do których trudno się przyznać nawet przed samym sobą.

- Ale później się dowiem?

- Tak, dowie się pani, jeżeli... - Jeżeli?

- Jeżeli wolno mi będzie zobaczyć panią jeszcze.

- Dobrze. Będę na pana czekała.

- Jak długo, miss Amy?

- Dopóki żyć będę.

Przylgnęli do siebie i trwali tak dłuższą chwilę. Wyrwawszy się z objęć, Amy poprosiła porucznika, żeby ją odprowadził do pokojów. Pożegnawszy się z dziewczyną, Mariano wolnym krokiem powracał do siebie. Zatopiony w marzeniach o swym ogromnym szczęściu, wszedł do mieszkania. Zarygłował drzwi, prowadzące na korytarz, i zmierzał do sypialni. Zaledwie zdążył przejść w ciemności parę kroków, gdy otrzymał dwa tak potężne uderzenia w głowę, że padł zemdłony, nie wydawszy nawet jęku.

- Światła! - rzekł kapitan do swoich ludzi. - Obejrzymy sobie chłopczyka.

Barczysty marynarz zapalił lampę.

- O, to chłopak elegancki i delikatny, a przy tym podobny do kogoś, kogo dobrze znam, tylko nie mogę sobie na razie przypomnieć do kogo. Zakneblujcie mu usta, zawińcie go w płótno żaglowe i dobrze zawiążcie węzeł, aby pakuneczek był piękny i nie sprawiał nam kłopotu.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Kapitan otworzył. Do pokoju wszedł notariusz.

- Macie go? Czy się bronił?

- Tego tylko brakowało. My, wilki morskie, mamy twarde łapy.

- Nie odzyskał jeszcze przytomności?

- Przekonamy się później. Czy możemy stąd odejść? Na dworze będzie bezpieczniej.

- Chodźcie!

Wyszli tymi samymi tylnymi schodami i dotarli do powozu, nie spotkawszy nikogo. Dwaj marynarze, którzy nieśli porwanego, teraz złożyli go na ziemi. Notariusz zapalił lampę, nie mógł bowiem odmówić sobie rozkoszy ujrzenia ofiary i rzucenia jej przy rozstaniu kilku cierpkich słów.

Światło padło na twarz jeńca, który oczy miał szeroko otwarte.

- Nie śpisz, kochaneczku? - zapytał notariusz szyderczo. - Rachunek nasz wyrównany. Teraz nie będziesz mógł nikomu szkodzić. Bądź zdrow i pamiętaj o mnie!

Po tych słowach uderzył bezbronnego pięścią w twarz, po czym polecił, aby przeniesiono go do powozu. Podczas gdy marynarze wykonywali rozkaz, kapitan pytał notariusza na boku:

- Czy ma zginąć?

- Tak będzie najlepiej.

- W takim razie utracę część zysku.

- Niech pan sobie doda z moich pieniędzy jeszcze dwieście duros.

- No, to co innego. Za taką cenę można to załatwić. Dobranoc. Czy zobaczę pana jeszcze przed odjazdem?

- Tak. A więc do widzenia.

Po odjeździe powozu notariusz wrócił do zamku, przekonany, że wszystko układa się po jego myśli. Innego byłby zdania, gdyby usłyszał to, co Landola mówił do siebie po jego odejściu, zacierając rękę:

- Z obydwóch was wycisnę ile się da: z ciebie, mój Cortejo, i z ciebie, chłopaczku.

Następnego dnia miss Amy wstała wczesnym rankiem. Poczucie szczęścia, wywołane wczorajszą rozmową z porucznikiem, spędzało jej sen z powiek. Pragnęła odetchnąć świeżym powietrzem chłodnego poranka. Wyszedłszy ze swego pokoju, spotkała Elvirę z koszykiem w ręku. Rządczyni powitała ją ukłonem, na który Amy uprzejmie odpowiedziała.

- Już tak wcześnie do pracy? - zapytała Angielka.

- Tak, droga miss, lady - tytuły te powtarzała Elvira za mężem, który stale je mieszał. - Muszę naprawić wielki błąd. Wczoraj mieliśmy kwiaty i wieńce dla wszystkich, a tylko temu, który był sprawcą święta, nie dostał się ani jeden kwiatek. To dowód wdzięczności, jak powiedział mój Alimpo.

- Mówi pani o doktorze?

- Tak. Condesa kazała mi dziś zanieść mu róże, idę więc po nie do parku.

- Czy dotychczas był ciągle przy hrabi?

- Tak. Mam wrażenie, że nie ma zaufania do pewnych ludzi na zamku, boi się, że mu przeszkodzą w kuracji hrabiego. To człowiek dzielny i uczynny, to samo twierdzi mój Alimpo. Nawet noc dzisiejszą spędził przy naszym panu. Teraz poszedł do parku.

- Idę z panią. Pomogę pani ścinać róże.

- Będzie to dla mnie wielkie szczęście i zaszczyt nie lada. Niezadługo spotkały Sternaua. Lekarz życzliwie powitał Amy, a ta podszedłszy do niego spytała:

- Czy mogę pospacerować z panem, doktorze? A może woli senior być sam?

- Rad jestem ogromnie, że panią spotykam. Właśnie o pani myślałem.

- O mnie? - zdziwiła się.

- Tak. I myśl o pani przeniósła mnie do dalekiego kraju, który ma się stać pani ojczyzną.

- Mówi pan o Meksyku? Czy go pan zna?

- Doskonale. Przemierzyłem na koniu Teksas i Nowy Meksyk.

Przez pustynię Mapimi dostałem się do stolicy. Bawiłem tam kilka dni, potem spędziłem czas

jakiś w Kalifornii, gdzie przyjrzałem się z bliska życiu poszukiwaczy złota.

- Musi mi pan o tym Meksyku opowiedzieć. Przyznam się panu, że odczuwam pewien strach przed tym krajem okrucieństw i gwałtownych namiętności. Gdy sobie przypomnę jego dzieje...

- Tak, historia Meksyku pisana jest krwią. Ale tak przerażająco, jak się pani wydaje, tam nie jest. Meksyk to przede wszystkim jeden z najpiękniejszych krajów świata, stolica da pani dużo ciekawych i przyjemnych przeżyć.

- A życie tamtejszej prowincji, doktorze? Podobno grasują po niej bandy zbójców i morderców?

- Można by powiedzieć, że niemal każdy Meksykanin ma w sobie coś z rozbójnika, ale łatwo się do tego przyzwyczaić - odparł Sternau z uśmiechem.

- Jak można się przyzwyczaić do obcowania ze zbrojami?

- Bardzo łatwo, bo ci rozbójnicy są równocześnie najwytworniejszymi kawalerami. Pozna pani dzielnego oficera, który ją oczaruje, sędziego, którego sprawiedliwe wyroki budzą podziw, uczonego, którego wiedza zachwyca wszystkich. A pewnego dnia napadną na panią rozbójnicy i pozna pani wśród nich owego oficera, sędziego lub nawet uczonego. Ludzie ci zażądają od pani okupu i na tym koniec. Poza tym będą niezwykle uprzejmi, a gdyby ich pani znowu miała spotkać w towarzystwie, każdy z nich z najgłębszym dla pani szacunkiem poda jej ramię, prosząc tylko delikatnie o nieprzypominanie drobnej awanturki.

- To niezwykle romantyczne. A więc chodzi przeważnie o kiesę, nie o życie ludzkie?

- Przeważnie. Na głębokiej prowincji bywa jednak nieco gorzej pod tym względem, dlatego trzeba tam podróżować z wojskową eskortą. Ale te drobiazgi są niczym wobec niebezpieczeństw dzikiej sawanny. Tam każdy jest wrogiem, śmierć czyha na każdym kroku. Kto nie jest doskonałym jeźdźcem i strzelcem, kto nie ma wielkiej siły fizycznej, komu brak doświadczenia, ten nie powinien zapuszczać się w owe okolice.

- Czytałam o tym. Czy to prawda, że ludzie, mieszkający w tym dzikim kraju, potrafią wytropić po śladach każdego człowieka, każde zwierzę?

- Tak. Mają jak gdyby wrodzony instynkt. Każde ziarnko piasku, każde źdźbło trawki, każda gałązka jest dla nich drogowskazem.

- Czy pan również orientował się po śladach?

- Musiałem.

- Więc był pan sławnym poszukiwaczem dróg i ścieżek, pędził pan romantyczny żywot?

Ukloniwszy się, odparł z uśmiechem:

- W istocie.

Podczas rozmowy doszli do miejsca, w którym zamek graniczył z wsią. Oko przeciętnego śmiertelnika nie odkryłoby w piasku śladu stóp, ale wyćwiczony wzrok Sternaua pozwolił mu stwierdzić, że przechodziła tędy gromada ludzi.

- Nie widzę nic - rzekła Angielka, pochylając się ku ziemi.

- Wierzę, panno Amy. Trzeba wzroku dzikiego Indianina albo wprawnego strzelca prerii, aby odkryć, że po tej dróżce chodzili dziś w nocy ludzie.

- W nocy? To wygląda na awanturniczą przygodę.

- Po co myśleć zaraz o przygodzie? - ujął Amy za rękę. - Niech się pani nie rusza, mogłaby pani zatrzeć ślady. - Schylił się i dodał: - Proszę spojrzeć, czy widzi lady odciski stóp?

Nachyliła się również i po dłuższej chwili powiedziała:

- Prawda. Widzę ślady. Więc pan uważa, że to ślady nóg?

- Z pewnością. Tu jest ślad wielkiego buta o szerokim, niskim obcasie, tak zwanego buta wodnego, używanego przez rybaków i żeglarzy. A tu drugi ślad, taki sam. Tu zaś, na prawo większa

liczba, z czego wynika, że przechodziła tędy grupa ludzi. Widzę z rodzaju śladów, że ci, którzy je wycisnęli, przechodzili tędy około północy.

- Ale takich butów nikt w zamku nie nosi - Angielka była coraz bardziej zaciekawiona.

- Tak, to obcy ludzie. Budzą się we mnie jakieś podejrzenia...

- Jakie? - zapytała z lękiem.

- Nie wiem jeszcze dokładnie, ale ludzie ci szli z zamku. Trzeba zobaczyć, skąd ślady prowadzą.

Idąc po tropach, dotarli do tylnego wejścia zamkowego, przez które napastnicy opuścili pokoje porucznika.

- Aha! - zawołał Sternau. - Inną drogą przyszli, inną odeszli. Wydostali się z tych krzaków na lewo, później podążyli przez park. Śpieszmy się, musimy to zbadać.

Poszli po śladach aż do parku. Amy była niezwykle podniecona. W miejscu, gdzie drożyna się rozszerzała, Sternau przeszukał teren i rzekł:

- To dziwne. Ktoś z mieszkańców zamku był razem z nimi. Widzę tu ślad delikatnego trzewika męskiego. Trzeba go odrysować.

Wyciągnął z kieszeni gazetę i ołówkiem odrysował ślad stopy.

- Tak, to jedna sprawa. A teraz druga, ciekawsza. Tędy przechodziło dwoje ludzi, jeden za drugim. Czy pani widzi, że obcasy ich butów pozostawiły głębsze ślady niż innych?

- Tak, widzę.

- Ci dwaj stąpali widocznie mocniej i ciężiej. Nieśli zapewne jakiś wielki ciężar. Chodźmy dalej.

- Podążał wciąż po śladach, po chwili jednak przystanął i powiedział ze zdumieniem:

- Aha, tutaj zatrzymał się jakiś powóz.

- Co w zaroślach mógł robić powóz?

- Tu jest granica parku. Czy pani widzi ślady kopyt? Powóz był zaprzężony w parę koni. Obok niego położono ciężar, który nieśli ci ludzie.

Schylił się, aby dokładnie przypatrzeć się odciskowi ciężaru. Trudno było w mchu coś znaleźć. Nagle wzrok jego padł na rosnącą obok tarninę. Wyrwał jedną gałązkę i podniósłszy ją do góry, zbladł jak ściana. Po chwili zawołał:

- Czy wie pani, co to za ciężar niesiono z zamku i umieszczono w powozie?

- Przeraza mnie pan - szepnęła Amy.

- To był człowiek! Niech pani popatrzy na włosy, które znalazłem na tarninie. Długie są i czarne, przypominają włosy porucznika de Lautreville.

Teraz zbladła twarz Angielki.

- Włosy porucznika?! - zawołała. - Stało się z pewnością nieszczęście, popełniono jakąś zbrodnię! Musimy zobaczyć, co się dzieje na zamku!

- Nie przypuszczam, że to zbrodnia. Nie mieszkamy przecież na amerykańskich preriach, a w cywilizowanym kraju. Może tylko nasza poprzednia rozmowa dodała skrzydeł mojej fantazji.

- Więc to tak ma wyglądać cywilizacja? Pana chciano w tym parku zamordować, a na Rosetę urządzono napad!

- Ma pani słuszność. Chodźmy do zamku! W drodze Sternau poprosił towarzyszkę:

- Niech pani z nikim nie rozmawia o tej sprawie. Ja się nią sam zajmę. Przede wszystkim trzeba oszczędzać hrabiego Manuela. Jest jeszcze niezdrów. Niech pani wraca teraz do siebie, spotkamy się później.

Amy poszła na górę, Sternau zaś udał się do izby służącego, który właśnie czyścił obuwie wszystkich mieszkańców zamku. Doktor nie mówiąc nic, wyciągnął swój skrawek gazety. Po chwili znalazł męski trzewik, odpowiadający odrysowanej formie.

- Czyj to but? - zapytał lekarz służącego, niesłychanie, zdumionego tym, co robi lekarz.

- Seniora Gasparina Corteja.

Sternau poszedł teraz do rządcy, od którego dowiedział się, iż wszyscy mieszkańcy zamku wstali, z wyjątkiem porucznika; Alimpo nie widział jeszcze Lautreville'a.

- Chodźmy, panie Alimpo, zbudzimy porucznika.

- Gotów się jeszcze rozgniewać.

- Niech się pan tego nie obawia.

Mieszkanie porucznika było otwarte. Łóżko w sypialni wydawało się nietknięte, drobne zaś szczegóły wskazywały, że rozegrało się tu coś niezwykłego. Na ziemi leżał kawałek grubego sznura przypominającego linę okrętową. Kapelusz, który Lautreville nosił poprzedniego dnia, walał się na podłodze.

Sternau był teraz pewien, że porucznikowi przytrafiło się coś złego. Niezwłocznie udał się do mieszkania notariusza. Zapukawszy wszedł. Cortejo, zdumiony tak wczesną wizytą, zapytał:

- Czy być może? Pan doktor we własnej osobie? Czym mogę służyć?

- Pewną informacją, o którą bardzo proszę.

- Słucham. Ale proszę mówić krótko, nie lubię bowiem, by mi przeszkadzano o tak wczesnej porze.

Nic sobie nie robiąc z ostrego tonu notariusza, Sternau podszedł do niego, chwycił mocno za ramię i patrząc mu prosto w oczy, rzekł:

- Z pewnością będę mówić niewiele, jeżeli odpowiedź pana będzie równie krótka i szczerą, jak moje pytanie: Gdzie jest porucznik Lautreville?

Tego pytania nie spodziewał się Cortejo. Zbladł jak ściana. Minęło kilka chwil, zanim zdołał przyjść do siebie. Wreszcie odpowiedział oziębło:

- Mam wrażenie, że senior trafił do nieodpowiedniego pokoju. Cóż mnie obchodzi ten pan de Lautreville?

- W każdym razie powinien pana obchodzić przynajmniej tyle, co każdy inny mieszkaniec zamku. Porucznik zaginął i nie można go odnaleźć.

- Niech więc go pan szuka. Nic dziwnego, że uciekł. Uważałem go od pierwszej chwili za awanturnika.

- Są gorsi awanturnicy od porucznika - powiedział Sternau. - Co to za ludzie, z którymi pan napadł na porucznika i uprowadził go w powozie, czekającym na granicy wsi i parku?

Cortejo zadrżał na całym ciele. Był przekonany, że wszystko przeszło niepostrzeżenie, tymczasem pytanie doktora świadczyło, że ktoś go podpatrzył. W tej samej jednak chwili zorientował się, że gdyby ktoś widział całe zajście nocne, z pewnością starałby się przeszkodzić porwaniu. A więc pytanie doktora opiera się tylko na przypuszczeniu. Odzyskał spokój.

- Czy pan oszalał, doktorze?! - zawołał. - Proszę wyjść, bo inaczej będę musiał panu w tym pomóc!

Sternau uśmiechnął się na tę pogroźkę i odrzekł ironicznie:

- Senior Cortejo, bądźmy szczerzy. Od pierwszej chwili, jak się pokazali, polubiłem pana bezgranicznie. Z niezwykłą sympatią obserwowałem pana ukradkiem i stąd wyniosłem przekonanie, że pan w zupełności zasługuje na to gorące uczucie. Ale zwracam panu uwagę, że gotów jestem go udusić, gdyby to uczucie wzrosło jeszcze bardziej. Adios, drogi panie!

Po tych słowach wyszedł. Notariusz zaniemówił z wrażenia.

- „Ten człowiek - pomyślał po chwili - przejrzał mnie na wskroś. Trzeba go będzie unieszkodliwić. Skąd ten diabeł wie, że jacyś ludzie wywlekli porucznika i że ja maczałem w tym

palce? Muszę, koniecznie muszę usunąć go z drogi. W ogóle zaczyna się coś gmatwać, ale zrobię z tym porządek. Hrabiemu przyda się również kilka kropel trucizny. Najlepiej byłoby go otruć, ale chcę się przekonać, czy ta trucizna istotnie prowadzi do obłądu. A ten jest może i gorszy od śmierci. Obłąkany musi pójść pod kuratelę, a wtedy Alfonso obejmie olbrzymie dziedzictwo, tak jakby hrabia umarł. Muszę zwyciężyć mimo piętrzących się tyłu trudności".

Sternau zwołał wszystkich mieszkańców Zamku i oświadczył im w tajemnicy przed hrabią Manuelem, że porucznik de Lautreville zaginął bez śladu. Wiadomość ta wywołała wielkie wzburzenie, zwłaszcza gdy Sternau powiedział, że ślady w parku wskazują na porwanie. Podejrzenia dotyczące notariusza Sternau przemilczał.

Najbardziej zrozpaczona była Amy. Błagała doktora, aby wszelkimi siłami starał się wyświecić tajemnicę. Po długich naradach postanowiono przeczekać dzień, gdyż ślady w parku mogły nie mieć żadnego związku ze zniknięciem porucznika - może po prostu wyjechał na dłuższy spacer. Gdyby w ciągu dnia nie dał znaku życia, miano zwrócić się do Paryża, gdzie, jak mówił de Lautreville, stacjonował jego pułk.

Sternau przyjął takie rozwiązanie, ale postanowił równocześnie prowadzić dalsze dochodzenie. Pod pozorem, że ma pilną sprawę w Barcelonie, wyjednał urlop u hrabiego i wsiadłszy na koń opuścił zamek.

Notariusz, Alfonso i Clarisa brali również udział w naradzie na zamku. Podczas niej Cortejo zorientował się, na jakiej podstawie właśnie na niego padło podejrzenie i tym mocniej postanowił zgładzić Sternaua. Kiedy się dowiedział, że lekarz kazał osiodłać konia i wyjechał, od razu domyślił się, że wyjazd ten ma związek ze zniknięciem porucznika. Okrężną drogą przedostał się do zarośli, wśród których ubiegłej nocy stał powóz. Nie upłynęło wiele czasu, gdy zobaczył swego przeciwnika.

Sternau spodziewając się, iż będzie śledzony, udał, że zmierza do wsi. Po drodze zboczył i pojechał tam, gdzie rano odkrył ślady. Ukrywającego się notariusza niestety nie zauważył.

- A więc sprawy stoją istotnie tak, jak przypuszczałem - mruknął do siebie Cortejo. - Będzie szedł po śladach, ale zgubi je na pewno. Mimo to trzeba działać szybko.

Po powrocie na zamek Cortejo spotkał służącego, który niósł filiżankę czekolady dla hrabiego. Za chwilę zobaczył condesę, zdążającą do mieszkania Elviry. Aha - pomyślał - stary jest sam. A więc teraz albo nigdy. Pobiegł do swego mieszkania po flaszeczkę, którą otrzymał od kapitana. Zabrawszy również tekę z papierami, zameldował się u chlebobdawcy.

Hrabia Manuel siedział sam przy stole. Jedno nakrycie wskazywało, że nie należy spodziewać się szybkiego powrotu hrabianki. Hrabia miał wprawdzie coś w rodzaju daszka nad oczyma, ale wyglądał dobrze i był usposobiony pogodnie.

- Dzień dobry, Cortejo, przychodzi pan w samą porę, bo miałem po śniadaniu posłać po pana.
- Jestem do usług, panie hrabio - rzekł Cortejo przymilnie.
- Wiem o tym. Od lat służy mi pan wiernie i uczciwie. Mam nadzieję, że niezadługo przyjdzie czas, kiedy będę mógł odwdziaczyć się panu za to wszystko. Jeżeli bywałem niecierpliwy, porywczy, trzeba to zrzucić na karb mojej choroby. Dziś gdy wzrok odzyskałem, czuję się szczęśliwy i spokojny. Czy może ma senior jakąś prośbę do mnie?

- Tak, ekscelencjo.
- Niechże pan powie jaką. Postaram się ją spełnić.
- Eskcelencjo, nigdy nie proszę o rzeczy, które mnie dotyczą. Moja prośba ma więc charakter wyłącznie służbowy. Czy mogę odczytać projekt nowej umowy z dzierżawcą Antoniem Firenzą?
- Przeczytać? Spróbuję to zrobić sam. Doktora Sternaua nie ma, pojechał do Barcelony, nie przyłapie mnie więc na nieposłuszeństwie. Proszę mi pokazać ten kontrakt.

Cortejo podał papier hrabiemu. Ręka mu przy tym drżała, zaniepokoiła go bowiem wzmianka, że Sternau udał się do Barcelony. Hrabia wziął kontrakt i podszedł z nim do biurka. Usiadł, zapraszając notariusza ruchem ręki, aby zajął miejsce naprzeciw. Okna były jeszcze zasłonięte zgodnie z zaleceniem doktora. W pokoju panował półmrok. Mimo to hrabia odczytywał na głos tekst umowy, rozkoszując się odzyskanym wzrokiem.

Cortejo usiadł niedaleko stołu, na którym stała czekolada. Podczas gdy hrabia czytał, wyciągnął flaszeczkę i wlał do filiżanki dwie krople trucizny. W tej samej chwili hrabia przerwał czytanie i odwrócił głowę, jakby chcąc się przekonać, czy Cortejo słucha. Widząc rękę notariusza nad filiżanką, zapytał zdziwiony:

- Co senior robi?

- Ekscelencjo, musiałem odpędzić muchę.

Hrabia nie dostrzegł flaszeczki, czytał więc dalej. Skończywszy, rzekł:

- Kontrakt odpowiada mi zupełnie. Podpiszę go. Niech również podpisze dzierżawca.

Po tych słowach podszedł do stołu, wziął do rąk filiżankę i jednym haustem wypił całą jej zawartość. Cortejo odetchnął z ulgą, po czym zapytał, czy hrabia ma jeszcze dla niego jakieś polecenia.

- Tylko jedno - odpowiedział hrabia. - Chciałbym, aby doktor Sternau pozostał u mnie przez dłuższy czas. Proszę przygotować umowę w rodzaju tej, jaką miał doktor Cielli. Daję doktorowi Sternauowi wikt, mieszkanie i trzy tysiące duros rocznie.

- Zajmę się jeszcze dziś tą sprawą, ekscelencjo.

- To wszystko. Do widzenia, mój przyjacielu.

Notariusz wyszedł, składając czołobitny ukłon. Wróciwszy do swego pokoju, rzucił na stół przygotowany kontrakt.

- Trzy tysiące duros! Ten łotr żyłby za tę sumę jak król! Ani mi się śni spisywać umowę! Jadę za nim do Barcelony. Trucizna zacznie działać podczas mojej nieobecności, więc uniknę podejrzeń.

W pół godziny później wyjechał.

Po odjeździe Corteja Alimpo wszedł do pokoju hrabiego Manuela, aby jak każdego ranka wysłuchać poleceń swego pana. Zastał go w pozycji, która mu krew w żyłach zmroziła. Hrabia zwinięty w kłębek jak kot, leżał w kącie pokoju, wydając żalosne jęki:

- Czego ode mnie chcecie, nie wiem kim jestem, nic nie wiem... Alimpo nie był odważny, ale przywiązanie do hrabiego powstrzymało go przed ucieczką.

- Ekscelencjo, hrabio Manuelu! Przyszedłem, aby się dowiedzieć...

- Nic nie wiem, nic nie wiem - jęczał hrabia.

- Mój Boże! - zawołał Alimpo. - Co się stało? Niechże hrabia wstanie! Hrabia pozwoli, że mu pomogę.

Po tych słowach zbliżył się do hrabiego, ale ten wcisnął się jeszcze głębiej w kąt i wymachując rękami krzyczał:

- Precz ode mnie! Nie wiem, nic nie wiem!

- Ekscelencja mnie nie poznaje? Jestem przecież Alimpo.

- Alimpo? A-lim-po? - hrabia jakby coś sobie przypomniał. Wstał, zrobił kilka kroków i dodał: - Ach, tak, Alimpo. Ja jestem Alimpo, teraz wiem: Alimpo to ja!

Jego oczy zaczynały nabierać normalniejszego wyrazu. Chodził po pokoju, nie patrząc na rządcę i mrucał na przemian to wesoło, to smutno:

- Tak, teraz wiem, Alimpo to ja. Imię moje Alimpo. Przerazenie rządcy było ogromne. Jak szalony wybiegł z pokoju i popędził do żony, zajętej prasowaniem bielizny.

- Elviro! - zawołał, ledwie chwytając oddech.

- Co się stało?

- O, Elviro!

Podniosła oczy i zobaczywszy przerażoną twarz męża, upuściła na ziemię rozżarzone żelazko.

- Na Boga! — krzyknęła. - Co się stało? Wyglądasz okropnie.

- Hrabia... oszalał!

Otworzyła szeroko usta, nie mogła jednak wydobyć z nich ani słowa.

- Oszalał, kompletnie oszalał! - powtórzył Alimpo. Elvira odzyskała wreszcie mowę.

- Toś ty oszalał, mój drogi! - zawołała.

- Ja? Wypraszam sobie takie żarty! Hrabia oszalał naprawdę.

- Kto ci to powiedział?

- Widziałem na własne oczy.

- Nie wierzę.

Tego już było rządcy za wiele. Chwycił za ramię małżonkę i zaciągnął ją do pokoju hrabiego.

Stary pan ciągle jeszcze chodził po gabinecie, bełkocąc:

- Tak jest, nazywam się Alimpo.

Jego wyraz twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Elvira załamała ręce.

- Na Boga, więc to prawda! Postradał zmysły... - zawołała i bezwładnie opadła na fotel.

Hrabia usłyszawszy jej głos, zwrócił na nią swój szklany, niesamowity wzrok.

- Oszalałem? - zapytał. - Ja, ja Alimpo?

- Biegnij prędko po hrabiankę - wyjąkała, zwracając się do męża. Alimpo znalazł condesę w pokoju Angielki. Po wyrazie jego twarzy Roseta poznała, że przynosi straszną wiadomość.

- Co się stało?

- Spokojnie, droga hrabianko - rzekł Alimpo drżącym głosem.

- Niech pan mówi, na Boga!

- Stało się coś strasznego, coś okropnego!

Roseta podbiegła do Alimpo i zaczęła szarpać go za rękę.

- Ktoś oszalał - wyjąkał.

- Kto taki?

- Droga hrabianko, proszę mi wybaczyć, że jej sprawię ból. Mówię o hrabi Manuelu.

- O moim ojcu?

- Tak.

Roseta uśmiechnęła się.

- Drogi Alimpo, mam wrażenie, że jest pan w wielkim błędzie.

- O nie, don Manuel oszalał naprawdę. Moja Elvira widziała to także na własne oczy. Jest jeszcze przy nim.

- Jak się objawia to szaleństwo? - zapytała Roseta, ciągle jeszcze się uśmiechając.

- Gdy wszedłem do pokoju, hrabia leżał w kącie skulony jak kot. Oczy miał błędne, przerażone. Płakał i jęczał, prosząc, bym mu nic złego nie robił. Zapomniał, kim jest, teraz zaś uważa się za mnie, za rządcę Alimpo.

Roseta nie słuchała dalej. Skinęła na swą przyjaciółkę i obie wybiegły z pokoju. Alimpo za nimi. Gdy weszli do gabinetu hrabiego, Elvira ciągle jeszcze siedziała nieruchomo w fotelu, hrabia zaś chodził od ściany do ściany i bełkotał jakieś słowa.

Roseta zatrzymała się jakby rażona piorunem. Pociemniało jej w oczach, zabrakło tchu, padła półprzytomna w objęcia przyjaciółki. Po chwili wyrwała się z nich i podbiegła do ojca.

- Ojciec, na miłość boską, co tobie? - zawołała.

Hrabia stanął i popatrzył na nią błędnym wzrokiem.

- Co mi jest? - zapytał. - Nie wiem. Wiem tylko, że jestem Alimpo.

Wypowiedział te słowa wolno i bezdźwięcznie.

- Ojciec mój - jęknęła, rzucając mu się na szyję. - Co się stało? Jesteś chory? Nie poznajesz mnie?

- Czy poznaję? Nie. Nie znam nikogo. Jestem Alimpo.

- Nie, ty nie jesteś Alimpo! - krzyknęła, wybuchając płaczem. - Jesteś moim ojcem, opamiętaj się, opamiętaj!

Zaczęła go głaskać po głowie i włosach, całować jego usta i ręce. Nie trwało to długo. Po chwili odepchnął ją i powiedział:

- Nie duś mnie, nie rób mi nic złego, wiem i tak, kim jestem. Nazywam się Alimpo.

Roseta usiadła bezradnie na kanapie i płakała rozpaczliwie. Juan i Elvira płakali również. Hrabia patrzył na nich szklanymi oczyma.

- Nie płaczcie - prosił. - Przecież nie uczyniłem nic złego. Jestem przecież wasz wierny Alimpo.

- Cóż ja nieszczęsna pocznę? - biadała Roseta.

- Gdzie jest doktor Sternau? - spytała Amy. Roseta skoczyła na równe nogi.

- Jakże mogłam o nim zapomnieć. Tylko on może tu pomóc. Ale pojechał do Barcelony. Alimpo, trzeba po niego natychmiast posłać, niech zawróci z drogi.

- Pojechał do Barcelony. Jak go będzie można odnaleźć?!

- Nie wiem, nie wiem! Poślijcie trzech, pięciu gońców, niech jadą, niechaj konie padną pod nimi, byleby go znaleźli. Prędko, prędko! Tu każda chwila jest droga.

Po kilku minutach trzech jeźdźców wyruszyło z zamku na najszybszych koniach.

Alfonso stał w oknie pokoju Clarisy. Na widok gońców rzekł do matki:

- Musiało zajść coś niezwykłego. Hrabia wysłał trzech jeźdźców.

- Dokąd?

- Skąd mogę wiedzieć? Ale pojechali w kierunku Mataro lub Barcelony.

- Dowiedz się, mój synu, o powód tego wyjazdu. W naszej sytuacji wszystko może mieć wielkie znaczenie, a co dopiero wysłanie gońców. Ostrożność nigdy nie zawadzi. Alfonso otworzył okno i zawołał do Alimpa wracającego ze stajni:

- Kto posłał tych trzech jeźdźców?

- Ja, panie - odparł rządcą.

- Dokąd?

- Do Barcelony.

- Z czyjego polecenia?

- Z polecenia condesy.

- Aha. Po co?

- Mają odnaleźć doktora Sternaua.

Alimpo nie miał żadnego poważania dla Alfonsa, odpowiadał krótko i od niechcienia.

- Po co potrzebny jest doktor Sternau?

- Ekscelecja hrabia Manuel nagle zachorował. Mam wrażenie, że stracił zmysły.

- Stracił zmysły? Na Boga! - Alfonso udał, że jest przerażony, ale bystry obserwator zauważyłby z pewnością, iż w oczach jego zabłysła radość. - Zaraz tam przyjdę - powiedział i zamknął okno.

Clarisa objęła syna.

- Wygraliśmy, wygraliśmy! Czy wiesz, kto go zmysłów pozbawił? Twój ojciec!

- W jaki sposób? Czy można zaszcześcić obłąd człowieka, który jeszcze przed godziną był przy

zdrowych zmysłach?

- Tak. Twój ojciec nie wyjawiał mi szczegółów, ale wczoraj wieczorem oświadczył, że dziś coś się stanie z hrabią.

- Do licha, to doskonałe pociągnięcie! Morderstwa nie ma, a ja jestem dziedzicem.

Tymczasem Cortejo pędził na koniu w kierunku Barcelony. W pewnym miejscu skręcił z szosy na ścieżkę prowadzącą przez wsie i folwarki. Sternau trzymając się śladów, musiał jechać szosą, którą w nocy przejechał powóz. Notariusz przybył więc do miasta znacznie wcześniej i mógł postarać się, żeby lekarz nie dowiedział się o niczym.

Powóz był pożyczony od właściciela hotelu El Hombre Grande. Cortejo zajechał najpierw do niego i polecił, aby nigdy i nikomu nie wyjawiał nazwiska tego, komu pożyczał powóz. Załatwiwszy tę sprawę, zszedł do portu. Kapitana zastał na pokładzie statku.

- Witaj, senior Cortejo - rzekł Landola. - Nie spodziewałem się pana tak prędko, ale cieszy mnie, że pana widzę. Jestem gotów, papiery mam w porządku. Mogę w każdej chwili odpłynąć.

- To dobrze, doskonale.

- Doskonale? Czyżby zaszło coś nieprzewidzianego?

- Nie. Chciałem tylko powiedzieć, że ktoś znalazł ślady powozu i podejrzewa, kogo porwaliśmy. Za godzinę ten ktoś przybędzie do Barcelony. Jedzie pańskim tropem.

- Wspaniale! Niech więc wskoczy do wody i płynie za mną. Czy ma senior czas na ostateczny rozrachunek?

- Tak.

- W takim razie za kwadrans odbijam od brzegu.

- Co z naszym jeńcem?

- Czuje się doskonale. Leży na dole, pod pokładem. Dotychczas nie pozwoliłem mu ani mówić, ani jeść, ani pić.

- Musi umrzeć.

- Może pan być spokojny. Chodźmy do kajuty.

Po upływie pół godziny Cortejo zszedł na ląd, a statek „La Pendola” podniósł kotwicę i rozwinął żagle.

Opuściwszy zamek, Sternau jechał śladem powozu po szerokiej szosie, prowadzącej z Leridy do Barcelony. Po pewnym czasie zgubił ślad. Na szczęście jednak właśnie w tym miejscu jakiś pastuch doglądał trzody owiec. Ponieważ miał przy sobie coś w rodzaju taczki z niby-daszkiem, należało przypuszczać, że noc spędza w polu. Sternau podjechał do niego i zapytał:

- Czy spałeś tu ubiegłej nocy?

- Tak.

Lekarz wcisnął mu w rękę srebrną monetę i pytał dalej:

- Czy był w nocy wielki ruch na szosie?

- Nie. Tylko jeden powóz przejeżdżał w kierunku Rodrigandy.

- O której godzinie?

- Mniej więcej o północy, a może i wcześniej.

- Czy powrócił tą samą drogą?

- Tak, w jakieś dwie godziny później.

- Kto jechał powozem?

- Siedziało w nim kilku mężczyzn.

- Czy znasz któregoś z nich?

- Nie.

- Czy powóz był zaprzężony w muły?
- Nie, w konie. W jednego kasztana i jednego siwka.
- Czy widziałeś, jak byli ubrani ci ludzie?
- Chyba w bluzy i czapki marynarskie.
- Dziękuję ci. Szczęść Boże.

Sternau ruszył w dalszą drogę. Po drodze zatrzymywał się we wszystkich oberżach i wypytywał o przejeżdżający powóz. Nie przydała mu się jednak żadna z tych informacji, powodowały jedynie zwłokę w podróży. Na końcu po trzech godzinach przybył do samotnie położonej oberży, przy której stało sporo żłobów na znak, że można tu zajeżdżać z końmi. Zsiadł z wierzchowca, przywiązał go i wszedłszy do izby, kazał sobie podać szklankę wina. Gospodarz, staruszek uprzejmy i rozmowny, rozpoczął pogawędkę o pogodzie i o tysiącu innych nudnych spraw. Wreszcie zapytał:

- Dokąd pan jedzie?
- Może do Barcelony.
- Interesa, co?
- Szukam powozu, który powinien być tędy przejeżdżać.
- Powóz? Może widziałem ten powóz. Siedzę często przy oknie. Co to za powóz?
- Zaprzężnięty był w kasztana i siwka, siedziało w nim paru mężczyzn ubranych po marynarsku.
- Aha. Kiedy tędy jechał?
- W kierunku zamku jakąś godzinę przed północą, a wracał około pierwszej.
- Rozumiem.
- Czy widział senior ten powóz?
- Nie, Ale ludzie nim jadący zatrzymali się u mnie.
- Daję złotego dukata, jeżeli się dowiem, do kogo powóz należy. Staruszek aż cmoknął z zachwytem.

- Niech go pan da - uśmiechnął się. - Dowie się senior o wiele więcej, aniżeli żądał. Otóż powóz należy do pewnego oberżysty w Barcelonie. Mogę na to przysiąc.

- Czy oberżysta jechał nim?
- Ależ skąd! Z Landolą niebezpiecznie zaczynać.
- Kto to jest Landola?
- Kapitan morski. Jego statek nazywa się „La Pendola”.
- Co ten człowiek robił w powozie?
- Siedział na koźle, powoził nim. Jeździł zapewne na zamek do seniora Gasparina Corteja.
- Ci dwaj się znają?

- Oczywiście, wspólnie prowadzą interesy, o których ludzie mówią rozmaicie. Ten Landola, który nawiasem mówiąc ma być Amerykaninem, to podobno człowiek gotowy na wszystko. Życie ludzkie nie ma dla niego najmniejszego znaczenia. Powiadają, że ten korsarz nie gardzi nawet ładunkiem hebanu (przenośnia oznaczająca Murzynów).

- A Cortejo jest jego współnikiem?
- Tak, wyjaśnię to panu. Czy zna senior hrabiego Rodrigandę?
- Trochę.

- Otóż ten hrabia Manuel de Rodriganda chorował na oczy, oślepił w końcu i musiał oddać w ręce Corteja wszystkie swoje interesy.

- Nic dziwnego.
- Aby jednak ludzie nie prawili, że bogaci się na hrabi, Cortejo założył spółkę z Landolą i zajmuje się tak zwanym handlem morskim. Słowem, jest to łotr najwyższej klasy.

- Czy aby jest pan dokładnie poinformowany?

- Tak mówią. A i wczoraj marynarze opowiadali sobie niejedno, co udało mi się podsłuchać.

- Nie słyszał pan, do kogo wczoraj jeździli ci ludzie?

- Nie, ale Landola jeździł do Corteja, to pewne.

- Dziękuję. Oto złoto, zasłużył senior na nie uczciwie. Zapłaciwszy za wino, Sternau już miał opuścić oberżę, gdy nagle usłyszał tętent. Otworzywszy drzwi, zobaczył jednego z ludzi zamkowych, który zatrzymał spienionego konia przed gospodą, poznał bowiem wierzchowca stojącego u żłobu.

Zeskoczywszy z siodła, podbiegł do Sternaua:

- Co za szczęście, że znajduję seniora, panie doktorze! Hrabianka posłała mnie po pana.

- Co się stało?

- Don Manuel ciężko zachorował.

- Na oczy?

- Nie, tutaj - goniec wskazał na głowę tak, by nie spostrzegł tego właściciel oberży.

- Wypij prędko szklanekę wina, wracamy.

Po drodze Sternau dowiedział się, że notariusz wyjechał z Rodrigandy. Zapytał gońca: - Czy możesz nie wracać od razu na zamek?

- Mogę, panie.

- Czy chcesz w mojej sprawie pojechać do Barcelony?

- Pojadę chętnie.

- Dowiedz się tam w porcie, którego dnia ma wyruszyć w drogę statek Landoli „La Pendola”.

- Dobrze.

- Niech się jednak Gasparino Cortejo za żadną cenę nie dowie o celu twojej podróży. Pamiętaj o tym, gdybyś go spotkał w Barcelonie. Dostaniesz sowitą zapłatę, jeśli sprawę dobrze załatwisz.

Goniec pogalopował w kierunku Barcelony.

Drogę, którą normalnie przebywa się w trzy godziny, Sternau przejechał w jedną. Pierwszą osobą, którą spotkał przy bramie, był Alimpo.

- Jesteśmy zrozpaczeni, hrabia zupełnie postradał zmysły - biadał rządcą.

- To niemożliwe! Gdzie się znajduje?

- W sypialni. Hrabianka jest przy nim. Hrabia Alfonso oświadczył, że teraz on jest panem zamku i chciał sprowadzić specjalistę od chorób umysłowych, ale hrabianka nie zgodziła się na to.

Sternau wszedł do pokoju hrabiego, strzeżonego przez dwóch służących. Hrabia leżał na łóżku z obwiązaną głową. Obok niego siedziały Roseta i Amy. Lekarz podszedł do don Manuela. Zdjął mu okład z głowy, zbadał puls, poprosił, żeby panie opowiedziały przebieg ostatnich godzin. Hrabia jęczał ustawicznie:

- Nie róbcie mi nic złego. Jestem Alimpo.

Sternau zbadał płuca i źrenice chorego. Potem zapytał, patrząc mu w oczy:

- Kim pan jest?

- Nazywam się Alimpo.

- To nieprawda! - rzekł ostro Sternau. - Niechże pan sobie przypomni. Jest pan... jest pan, kto?

- Jestem Alimpo - jęknął hrabia.

- Milcz, łotrze! - krzyknął doktor. - Ty nie jesteś Alimpo! Przyznaj się, ktoś ty taki? - i uderzył gwałtownie w poręcz łóżka.

Chory chciał nakryć głowę kołdrą. Sternau wyrwał mu ją i znów krzyknął:

- No, prędzej! Chcę wiedzieć, kim jesteś.

Hrabia skurczył się jeszcze bardziej.

- Nie róbcie mi nic złego. Jestem Alimpo.

Sternau odszedł od łóżka.

- Wybaczcie mi, panie - zwrócił się do hrabianki i miss Amy - nie mogłem inaczej. Teraz proszę o wodę, ręczniki i naczynie do puszczenia krwi.

- Co z ojcem? Jaki jest jego stan? - zawołała Roseta. Sternau wyszedł bez odpowiedzi.

- Nie ma ratunku! - rozpaczła hrabianka. - Inaczej Carlos nie krzychałby tak na ojca, nie wyszedłby bez słowa. Każda sekunda widać mu droga. To dowód, że jest bardzo źle.

Po kilku minutach doktor wrócił, przynosząc ze sobą apteczkę domową i opatrunki.

- Co hrabia pił dziś na śniadanie? - zapytał.

- Filiżankę czekolady.

- Kto przygotowywał czekoladę?

- Ja - odparła Roseta.

- Kto ją przyniósł hrabiemu?

- Służący.

- Hrabia został otruty.

Powiedział to głosem tak pewnym, że Roseta bezwładnie osunęła się na fotel.

- To okropna trucizna, nazywa się pohon upas. Ale mam nadzieję, że go uratuję. Niech tu wejdą służący, będą mi potrzebni przy puszczeniu krwi.

Nim przystąpił do tego zabiegu, podał hrabiemu środek na wymioty. Zaczął działać natychmiast, ale nawet odrobina czekolady nie pojawiła się.

- To nic dziwnego - szepnął Sternau. - Od śniadania upłynęło przecież pięć godzin.

Puściwszy hrabiemu krew, Sternau polecił służbie nałapać kilka much. Kiedy je włożył do słoika napełnionego krwią chorego, zaczęły drzeć, po czym się skurczyły i znieruchomiały.

- A więc nie myliłem się - stwierdził Sternau. - To pohon upas. Znam tę truciznę z Jawy; trzy jej krople odbierają zmysły, pięć sprowadza zgon. Hrabia otrzymał dwie. I dlatego stracił pamięć. Gdy rządcą wszedł do pokoju, pamięć hrabiego zaczęła właśnie zamierać. Zapamiętał jednak ostatniego widzianego człowieka i jest przekonany, że się nazywa Alimpo. Krzychałem na hrabiego tak głośno, gdyż chciałem się przekonać, czy zupełnie stracił pamięć. Okazuje się, że te dwie krople trucizny przeszły w jego mózg i krew. Będę tę truciznę zwalczał odtrutką.

- Co przez to rozumiesz, Carlosie?

- Cudotwórcy i znachorzy jawajscy twierdzą, że skutki jej można usunąć za pomocą piany z ust człowieka, którego się łaskocze.

- I pan w to wierzy, pan wierzy, że taka męka ludzka może komuś przynieść zbawienie? - spytała miss Amy.

- Kto to wie? My, Europejczycy, nie znamy takich okropnych eksperymentów, ale...

- Co pan teraz uczyni?

- Stwierdziłem rzecz najważniejszą: hrabiego zatruto pohon upas. Trucizna ta składa się z alkaloidów, zawiera w sobie strychninę i brucynę. Muszę walczyć przeciw nim preparatami zawierającymi taninę, a więc zastosuję mieszaninę kawy i liści herbacianych oraz dodam capsicum, opium i jodyny. Ale nie będę mógł tego uczynić ani dziś, ani jutro. Hrabia musi odpocząć po upuszczeniu krwi. Zdaje się zresztą, że zasnął.

BATERIA

Cortejo wracał do Barcelony późnym popołudniem. Na łące pod lasem, przez którą prowadziła droga, zobaczył kilka chałup i namiotów, otaczających wielkie ognisko. Był to obóz cygański. Dojrawszy starą Cyganę grzejącą się przy ogniu, zatrzymał konia.

- Czyżby to była matka Zarba? Doskonała okazja!

Wnet otoczył go hałaśliwy tłum mężczyzn, wyrostków, kobiet i dzieci.

- Czy mam powróżyć? - zapytała piękna dziewczyna.

- Ja to lepiej potrafię! - krzyknęła jakaś stara baba.

- Daj parę groszy! - piszczały dzieciaki. Cortejo podszedł do jednego z mężczyzn:

- Czyś ty nie Garbo? Poznajesz mnie? Zapytany przyjrzał się notariuszowi.

- Ależ to senior Cortejo! Witaj, panie. Nie poznałem w pierwszej chwili. Czy może ma senior odrobinę tytoniu dla mnie, biedaka?

- Dostaniesz tytoń, i jeszcze coś o wiele cenniejszego, jeżeli zapracujesz na to.

- Dlaczego by nie? Zarobiłem już przy panu nie raz. O co chodzi?

- Zobaczysz. Czy matka Zarba jest z wami?

- Tak, siedzi blisko ogniska.

- Pomówię z nią. Potrzymaj mego konia.

Cortejo podszedł do ogniska. Smażyły się na nim kurczęta, króliki i kilka śledzi.

- Dobry wieczór - pozdrowił starą. Nie patrząc na niego zapytała:

- Kto jesteś?

- Stary przyjaciel.

- Jak się nazywasz?

- Dowiesz się, gdy na mnie spojrzysz. Czyż dawna Rosa Gitanos tak zhardziała, że nie chce nawet spojrzeć na swojego starego wielbiciela?

Stara odwróciła głowę. Rysy jej twarzy pozwalały przypuszczać, że niegdyś, w młodości, była piękną, jaką się rzadko spotyka.

- Ach, Cortejo - przywitała go poufale, podnosząc się na lasce. Ubrana była w łachmany, wejrzenie miała jednak dumne i wyniosłe. - A więc senior jeszcze żyje? Sądziłam, że cię już dawno diabli porwali.

- Jesteś zawsze tak samo zgryźliwa. Jak dawno tu obozujecie?

- Od obiadu.

- Aha, dlatego nie widziałem was dziś rano. Powiedz mi, Zarba, czy jesteś jeszcze moją przyjaciółką?

- Tak - odparła, przesywając go badawczym spojrzeniem.

- A może masz do mnie jakąś urazę?

- Chyba tylko to, że ostatnim razem zapłaciłeś nam parszywe grosze.

- E, cóż znowu, Gasparino Cortejo płaci dobrze.

- No tak, ale za to żąda roboty ciężkiej i odpowiedzialnej.

- Jak na przykład dzisiaj. Jakie macie obecnie ceny?

- Te same, co dawniej.

- A więc za zabójstwo?

- Pięćset.

- Za zniknięcie?

- Dwieście.

- Za okradzenie kasy?
- Dwieście.
- Za chłopca lub dziewczynkę wziętą na przechowanie?
- Sto.
- Za otworzenie grobu?
- Pięćdziesiąt.
- Tak, to istotnie stare ceny. Od czasu naszego rozstania musiałem współpracować z kimś innym.
- Wiem o tym. Z hersztem rozbójników. Jesteś z niego zadowolony?
- Nie, żałuję, że nie spotkałem was wcześniej. A więc umarły kosztuje jak zwykle pięćset?
- Tak, zwyczajny umarły pięćset.
- A nadzwyczajny?
- To zależy od jego stanu i bogactwa.
- Na przykład hrabia?
- Caramba! Nie chcesz chyba... Przerwała, wskazując ręką w kierunku zamku.
- Dlaczego by nie?
- Zabójstwo czy porwanie?
- To jeszcze nie zdecydowane. A cena?
- To również jeszcze nie zdecydowane - uśmiechnęła się. - Przejeżdżaliśmy dzisiaj obok zamku.
- Co tam nowego?
- Hrabia miał atak.
- Co za atak?
- Nie wiem. Ludzie tylko mówili, że jakiś tam doktor Sternau go leczy.
- To mu się nie uda.
- Masz chyba coś wspólnego z tym wypadkiem hrabiego...
- Phi! Zapamiętaj sobie dobrze to nazwisko: Sternau. Może go wkrótce poznasz. Czy masz czas wieczorem? Czy możesz przyjść do parku?
- Dobrze. Gdzie mam przyjść?
- Będę czekał pod dębem.
- Pod tym samym, pod którym spotykaliśmy się dawniej? W porządku, przyjdę.
- Liczę na ciebie. Adios!

Rozmowa toczyła się w cztery oczy, gdyż Cyganie szanowali swą przywódczynię i nigdy jej nie przeszkadzali w poufnych konferencjach. Cortejo odszedł, wszyscy zgromadzili się wokół niej. Notariusz był niepomiernie zadowolony ze spotkania. Dosiadłszy konia, rozdał dorosłym cały swój tytoń i wszystkie papierosy, dzieciom rzucił trochę drobnych pieniędzy, po czym spieszenie odjechał.

Gdy przybył na zamek, panowała tam głucha cisza. Poszedł prosto do Clarisy. Opowiedziała o ostatnich wydarzeniach.

- Do diabła! - zaklął. - Ten Sternau miesza się do wszystkiego.
- Więc użył słowa: pohon upas? W takim razie z pewnością wyleczy hrabiego.
- Czy istnieje jakieś antidotum?
- Tak.
- Opowiadają na zamku, że hrabia wróciwszy do przytomności, pozna tego, kto mu dał truciznę. Czy to możliwe?
- Wy, kobiety, nie o wszystkim powinnyście wiedzieć. W każdym razie hrabia nie odzyska przytomności.
- Jak to zrobisz?

- To już moja sprawa - odparł krótko i udał się do swego pokoju. Długi czas chodził po nim nerwowo, obmyślając nowy plan działania.

Na krótko przed północą jeździec, wysłany przez Sternaua do Barcelony, wrócił z wiadomością, że statek „La Pendola” tego dnia opuścił przystań. O północy Cortejo wymknął się ze swego pokoju. Nauczony doświadczeniem, starał się nie pozostawiać żadnych, śladów. Pod dębem czekała już Zarba.

- Jaki jest stan hrabiego?

- Musi umrzeć.

- Jak mam to rozumieć? Czy umrze z powodu choroby?

- Nie, wy go musicie zabić.

- Aha. To będzie bardzo dużo kosztować.

- Ile?

Namyślała się przez chwilę, po czym zapytała:

- Ile dajesz?

- A ile ty żądasz?

- Zapłata zależy od trudności roboty.

- To wiem. Pomyślałem o wszystkim. Ciało hrabiego musi zostać zmiażdżone, rozszarpane na kawałki.

- Zmiażdżone? Rozszarpane? Na Boga! Dlaczego?

- Ponieważ jest obłąkany.

- Aha, rozumiem. Jako obłąkanego pilnują go dozorczy, ale udaje mu się zmylić ich czujność.

Ucieka. Rzuca się z jakiejś skały. Czy tak?

- Tak właśnie to sobie wyobrażam.

- Jak dostaniemy się do niego, skoro go pilnują?

- Właściwie nie ma przy nim dozorców. Czuwają tylko lekarz i córka. Do pokoju przylega biblioteka, klucze zapasowe do niej mam przy sobie. Wprowadzę was, a potem już sami sobie radźcie.

- Garbo się tym zajmie.

- To chyba odpowiedni człowiek. Więc ile chcesz pieniędzy?

- Trzy tysiące duros.

- Co takiego? Oszalałaś?

- Znasz mnie przecież. Kosztujemy drogo, ale pracujemy dobrze. A zresztą śmierć hrabiego przysporzy ci niemały zysk.

- No tak. Kiedy mam zapłacić?

- Odbiorę pieniądze dopiero wtedy, gdy się to uda. Widzisz, że stawiam sprawę uczciwie.

- Tak, jesteś zupełnie inna niż herszt, który każe sobie płacić połowę z góry, a polecenia nie wykonuje.

- Powinien się wstydzić. Powiedziałeś, że mam sobie zapamiętać nazwisko Sternau. Czy to lekarz?

- Tak. I jego trzeba będzie zgładzić, ale nie natychmiast, bo szybki zbieg wypadków mógłby wywołać podejrzenia.

- A jak on ma zginąć?

- O tym pomówimy później.

- Więc chwilowo chodzi o hrabiego Manuela? Kiedy?

- Jutro.

- Gdzie miejsce spotkania?
- Tu, pod dębem, o północy. Czy ty przyjdiesz także?
- Nie, to praca dla mężczyzn. Garbo nie wystarczy?
- O, tak!
- Więc śpij spokojnie.

Rozstali się i notariusz wrócił niepostrzeżenie na zamek. W chwilę po jego odejściu zza dębu podniosła się jakaś ciemna postać.

- Czy słyszałeś całą rozmowę, Garbo?
- Tak.
- A więc hrabia... Czy zabijesz go?
- Nie. Wyświadczył mi tyle dobrego.
- A trzy tysiące?
- Słyszałem dziś w Loribie, że jutro ma się tam odbyć pogrzeb piekarza.
- Rozumiem.
- Wykopiemy piekarza...
- Ubierzemy go w suknie hrabiowskie...
- I strącimy trupa ze skały.
- Tak będzie najlepiej. A co zrobimy z hrabią?
- Ukryjemy go. Może to nam przynieść w przyszłości sporo pieniędzy.
- Ukryjemy? Ale gdzie?
- U mego przyjaciela Gabrilla w latarni morskiej.
- To dobra myśl. Żywa dusza tam nie zagłąda, nikomu nie wpadnie do głowy szukać tam hrabiego.
- A więc zgoda na mój plan?
- Zgoda. Ten Cortejo będzie nam musiał jeszcze dopłacać spore sumki.

Gdy następnego dnia porucznik nie zjawił się, na zamku wszyscy byli przekonani, że spotkał go jakiś nieszczęśliwy wypadek. Sternau uważał, iż na razie należy milczeć. Zgodził się nawet na wysłanie listu do Paryża w celu zasięgnięcia informacji o poruczniku.

Całą swą uwagę i cały swój czas poświęcił teraz hrabiemu Manuelowi, który znajdował się w stanie skrajnego wyczerpania. Przyjmował wprawdzie pokarm, szeptał od czasu do czasu, że jest rządcą Alimpem, ale to były jedyne oznaki życia.

Ani Alfonso, ani Cortejo i Clarisa nie pokazywali się w pokoju chorego. Byli ciągle razem, ustawicznie się naradzając. Alfonso chciał zwrócić się do sądu, aby ustalić kuratelę, lecz Cortejo skłonił go do zwłoki, co najmniej jednodniowej.

Nadszedł wieczór.

O trzy kwadranse drogi od zamku, w kierunku północnowschodnim, leży wieś Loriba, w której odbył się tego dnia pogrzeb piekarza. Grabarz, mieszkający we wsi odległej od cmentarza, wykopał grób bardzo płytki i tylko małą warstwą ziemi go przysypał.

Było około jedenastej wieczorem. Księżyc nie świecił, ale gwiazdy rzucały blask wystarczający, aby widzieć na odległość kilku kroków. W kierunku cmentarza szła grupka fantazyjnie ubranych ludzi. Byli to Cyganie: pięciu dorosłych i trzech chłopaków. Wyrostków pozostawiono na straży, mężczyźni przeleźli przez mur otaczający cmentarz.

- Czy wiesz, który to grób? Czy się nie pomylisz, Lorro?
- Nie. Wiem dobrze - brzmiała odpowiedź.

Lorro był na pogrzebie piekarza, z łatwością więc odnalazł miejsce. Nie zwlekając, zabrali się

do pracy. Ponieważ ziemia była miękka i sypka, więc praca poszła im szybko i składnie. Po kwadransie natrafili łopatami na trumnę. Otworzyli ją bez trudu. Lorro poświecił w oczy trupa lampą i rzekł:

- Wyłaż, stary, pójdziesz z nami na spacer.

Grób zasypali tak, aby nikt nie poznał, że zabrano zwłoki.

Dwóch ludzi wzięło trupa na plecy i zginęło z nim w ciemnościach nocy. Chłopcy wrócili do obozu, a pozostali trzej Cyganie pośpiesznie udali się na zamek. Przybywszy na wyznaczone miejsce w parku, zastali już tam notariusza.

- Czy to ty, Garbo? - zapytał.

- Tak, to ja.

- Czy jesteście już wszyscy?

- Tak.

- W takim razie chodźmy.

Poprowadził Cyganów taką drogą, aby stopy ich nie pozostawiały śladów. Weszli do zamku przez te same drzwi, przez które dostał się tam Landola ze swymi ludźmi. Ponieważ nie paliło się tu żadne światło, wyciągnięto lampy. Minawszy długi szereg nie zamieszkanym pokojów, dostali się w końcu do biblioteki zamkowej.

- Zaczekajcie - rzekł Cortejo i podszedł na palcach do drzwi. Uchylił je tak, że widać było przez szparę przyległy pokój. Po chwili skinął na Garba i szepnął:

- Patrz. Czy będziesz miał odwagę? Cygan przystąpił do drzwi, spojrzął i spytał:

- Kiedy możemy zaczynać?

- Zaraz, ale nie obudźcie kobiet.

- Dobrze. Bądźcie spokojni.

Hrabia spał w łóżku. Wyglądał jak nieboszczyk. Na kanapie leżały Amy i Roseta pogrążone w głębokim śnie. Były tak wyczerpane strasznymi przeżyciami całego dnia, że nie obudziły się, gdy Garbo wszedł do pokoju i zgasił lampę stojącą przy chorym.

Za Garbem wsunęli się jego towarzysze. Notariusz został na straży w bibliotece. Po krótkiej chwili powrócili do niej Cyganie, niosąc na rękach bezwładne ciało.

- Zamknijcie drzwi do pokoju hrabiego - powiedział Garbo. Wracali tą samą drogą, którą przyszli. Gdy dotarli do dębu,

Cortejo przyglądając się nieruchomemu i bezwładnemu ciału hrabiego, zapytał:

- Może umarł?

- Mam takie wrażenie - odparł Garbo. - Chwyciłem go trochę za mocno. Ale to jeszcze lepiej, prawda?

- Prawda - mruknął Cortejo, nie mógł jednak opanować uczucia grozy. - Wiecie, dokąd go macie zabrać?

- Tak. A teraz proszę o zapłatę.

- Macie pieniądze. Jestem z was zadowolony. Dobranoc.

- Do zobaczenia.

Cyganie się oddalili. Na skraju parku stał ukryty ręczny wózek. Ułożyli w nim hrabiego i z największą ostrożnością powieźli do obozu.

Stara Zarba czekała na nich.

- No i co? Udało się?

- Wszystko poszło doskonale. Hrabia leży zemdlony.

- Oto ubranie dla niego. Włóżcie mu je. Później zabierzesz don Manuela na ten wózek, Garbo, i

wywieziesz stąd. Odpowiadasz za jego życie, pamiętaj! Tu leży nagi trup piekarza. Ubierzcie go w bieliznę hrabiego i precz z nim.

Cortejo wracał do zamku, skradając się jak kot. Pomny doświadczeń, zacierał za sobą ślady miotełką, którą ukrył pod drzewem. Wszedłszy do swego pokoju, nie kładł się wcale, sądząc, że wkrótce Roseta lub Amy zbudzą się i zaczną wołać pomocy. Ale przez całą noc panowała głucha cisza i Cortejo miał nawet czas i sposobność stwierdzić już o świcie, czy udało mu się zatrzeć ślady.

Sternau chciał spędzić noc u wezłównia chorego, ale panie wymogły na nim, aby im pozwolił czuć, widział bym, jak barczo był wyczerpany.

Obudziwszy się i ubrawszy, zdążył właśnie do apartamentów hrabiego, gdy dobiegły go z sypialni przeraźliwe krzyki.

Wpadł do pokoju. Roseta i Amy rozpaczały nad pustym łóżem hrabiego.

- Gdzie jest hrabia? - zapytał.

- Nie wiem, nie wiem - powtarzała Roseta.

- Panie spały?

- Niestety. Spałyśmy obie.

- Hrabia nie mógł odejść daleko, jest zbyt słaby.

- Nie widział go pan w przedpokoju?

- Nie.

- Więc jest z pewnością w bibliotece.

- Doktor otworzył drzwi do biblioteki, przeszukał dokładnie oba pomieszczenia - ani śladu.

- Nie rozumiem, w jaki sposób zdołał zejść z łóżka, zwłaszcza wyjść z sypialni - rzekł do siebie.

- Był tak osłabiony... Okna są pozamykane od zewnątrz, więc nie mógł przez nie wyskoczyć. Trzeba rozpocząć poszukiwania.

Zwołano wszystkich mieszkańców zamku. Nikt nie widział hrabiego. Przeszukano cały zamek. Bez najmniejszego rezultatu. Wszyscy byli zdenerwowani, podnieceni, tylko notariusz, Clarisa i Alfonso - stoicko spokojni, oni nie brali udziału w poszukiwaniach.

Roseta - rozdrażniona w najwyższym stopniu - weszła do pokoju brata, w którym znajdował się również Cortejo i zawołała:

- Alfonso! Ojciec zginął, a ty siedzisz tu najspokojniej!?

Alfonso wzruszył ramionami.

- Cóż mam począć? Odebrano mi przemocą prawo mieszania się do czegokolwiek, a nawet prawo zabierania głosu.

- Co ty opowiadasz? Jaki to ma związek?

- Nie spierajmy się. Musicie teraz ponosić konsekwencje własnego postępowania. To ty i twoi przyjaciele jesteście za wszystko odpowiedzialni, ja umyvam ręce.

- Ależ ojca nie ma w całym zamku!

- W takim razie jest poza zamkiem. Proszę pana, senior Cortejo, jako zastępcę mego ojca, o zajęcie się odszukaniem hrabiego.

Notariusz zapytał z godnością i namaszczeniem:

- Jak hrabia był ubrany, condeso?

- Prawie wcale nie był ubrany. Czuł się tak osłabiony, że nikt nie przypuszczał aby się mógł podnieść z łóżka.

- Takie jest zdanie doktora Sternaua. O ile mi jednak wiadomo, obłąkani potrafią zdobyć się na ogromny wysiłek. Każę szukać wszędzie, wyznaczę nagrodę za znalezienie hrabiego.

- Dobrze, niech pan dołoży wszelkich starań - rzekła Roseta odchodząc.

- Czy nie miałem racji? - Cortejo zwrócił się do syna. - Występuję teraz jako zastępca hrabiego i chciałbym zobaczyć tego, kto mi odmówi posłuszeństwa.

Sternau działał na własną rękę. Uważał za niemożliwe, aby osłabiony przez upust krwi hrabia mógł opuścić pokój, a tym bardziej zamek. Domyślał się, że najprawdopodobniej uprowadzono go. Szukał śladów, niestety, na próżno.

Cortejo również zajął się poszukiwaniem zaginionego. Rozesłał po okolicy gońców pieszych i konnych, nazaczył pięćset duros nagrody za odnalezienie hrabiego. Nic to jednak nie dało. Przeszedł dzień, przeszła noc, a hrabiego ani śladu, choć setki ludzi, zwabionych wysoką nagrodą, nie ustawało w poszukiwaniach. Nazajutrz, gdy wszyscy mieszkańcy zamku zebrani byli przy śniadaniu - pod wpływem nieszczęścia bowiem znikły animozje i antypatie dzielące notariusza i jego rodzinę od otoczenia Rosety - wszedł służący i oświadczył, że przyszedł jakiś Cygan, który twierdzi, że ma do przekazania pewną wiadomość. Wpuszczono go natychmiast.

Był to Garbo. Ubrany w krótkie, podarte spodnie i postrzępioną kurtkę, miał nerwowo w rękach swój wysoki kapelusz, aby wywołać wrażenie, że w ten sposób stara się pokonać zmieszanie, wywołane widokiem hrabiowskiej rodziny.

- Kim jesteś? - zapytał Cortejo.

- Jestem biedny gitano. Chciałbym coś powiedzieć. Czy jaśnie państwo pozwolą?

- Słuchamy.

Garbo grał swoją rolę znakomicie. Minę miał uczciwą i szczerą, niemal dobroduszną. Chrząknąwszy kilkakrotnie, zaczął opowiadać.

- Jestem biednym Cyganem. Zarabiam na chleb leczeniem ludzi i zwierząt ze wszystkich chorób. Często bywam więc w górach, gdzie szukam ziół i leków. Poszedłem tam i dzisiejszego ranka. Przy jednej ze skał zobaczyłem na drzewie strzępek przepięknej bielizny. Umieszczona była na tym strzępku hrabiowska korona i litery R.S.

- Na Boga! To nasz herb rodowy. Człowieku, czy masz ten skrawek przy sobie? - wykrzyknął Alfonso.

- Tak, słyszałem, że zginął jakiś wielki pan, więc go zabrałem na wszelki wypadek. Potem zszedłem w kotlinę i znalazłem tam, znalazłem...

- Mówże dalej. Znalazłeś...

- Czeka! - wtrącił Sternau. - Zanim ten człowiek zacznie opowiadać, niech panie się oddalą...

- Nie, nie ruszę się stąd - głos hrabianki był tak stanowczy, że Sternau nie nalegał więcej.

- Czy mam mówić dalej? - zapytał Cygan.

- Tak, rozkazuję ci mówić - powiedziała hrabianka.

- Na dnie kotliny leżał... trup...

- Trup?! - zawołała Roseta, załamując ręce. - O, mój drogi, ukochany ojcze!

- Niechże pani jeszcze nie rozpacza - pocieszał ją Sternau. - Nie trzeba tracić nadziei. Może to trup innego człowieka, a może ma jeszcze w sobie resztę życia.

- Nie żyje z pewnością, jest zupełnie zmiądzony.

- Pokaż ten strzępek bielizny, o którym mówiłeś.

- Oto on.

Alfonso rzucił okiem i rzekł:

- To nasz herb!

Roseta krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Czy to na pewno bielizna hrabiego? - zapytał Sternau, poruszony do głębi.

- Tak - odpowiedziała. - To kawałek koszuli, w którą ubrałam ojca po puszczeniu mu krwi.

Poznają doskonale. Powiedz - zwróciła się do Cygana - gdzie leżą zwłoki mojego ojca.

- Na dnie kotliny, w miejscu, które nazywają „baterią”. Bateria oznacza coś w rodzaju przepaści, jakieś miejsce dzikie,

niebezpieczne. Gdy słowo to padło z ust Garba, wszyscy zrozumieli, że o tym, aby hrabia mógł jeszcze żyć, nie może być mowy.

- Dostyc - jęknęła Roseta. - Jestem jego morderczynią. Spałam zamiast czuwać przy nim. Do końca życia nie będę już miała spokoju. Ojczy mój, ojczy...

Wspierając się na ramieniu Amy, opuściła pokój.

- Czy można podejść do zwłok, nie narażając się na niebezpieczeństwo? - zapytał Cygana notariusz.

- Tak, o ile człek jest obeznany z górami.

- Ty je znasz, będziesz naszym przewodnikiem.

- Dobrze, ale jestem biednym Cyganem...

- Dostaniesz pięćset duros, jeżeli to naprawdę zwłoki tego, którego szukamy - oświadczył Cortejo, a po chwili dorzucił:

- Hrabio, będzie pan musiał pójść z nami.

Alfonso skinął głową, że się zgadza. Sternauowi nikt nie zaproponował, aby również poszedł. Postanowił mimo to wziąć udział w wyprawie.

Wiadomość o znalezieniu zwłok hrabiego obiegła zamek lotem błyskawicy. Gdy Cortejo i Alfonso udali się na miejsce wypadku, przyłączyło się do nich sporo osób spośród mieszkańców zamku i wsi.

Sternau chciał zamienić parę słów z Rosetą. Zapukał do jej pokoju, ale odpowiedziała mu, że nie może z nim mówić, zbyt wielka rozpacz ją gnębi. Sternau udał się więc do baterii tylko w towarzystwie Alimpa.

Była ona oddalona od Rodrigandy o jakieś trzydzieści minut drogi. Słońce rzadko kiedy zaglądało do tej wąskiej szczeliny górskiej, puste i nagiej, a prawie nigdy nie dotykała jej ludzka stopa. Alimpo oświadczył doktorowi, że jako młody chłopak bywał tu często i zna tajemne wejście do szczeliny, o którym Cygan być może nie wie.

Notariusz wysłał gońca do Manresy po doktora Ciellego. Na oględziny trupa wziął z sobą alkada (wójta) i sędziego miejskiego, aby formalnościom stało się zadość.

Alimpo nie był tęgim piechurem. Ponieważ jednak wykorzystali tajemne przejście, znane tylko rządcy, Sternau znalazł się więc na miejscu wkrótce po przybyciu Corteja i jego ludzi.

Oczom wszystkich przedstawił się straszny widok. Tuż przy brzegu górskiego strumienia leżały zwłoki. Była to właściwie bezkształtna masa, w którą zmieniło się ciało wskutek upadku na skały. Twarz trupa była zmiądzona, o rozpoznaniu rysów nie mogło być mowy.

Alimpo rozplakał się.

- Co za okropny widok! Co za nieszczęście! Tego widoku nigdy nie zapomnę!

Cortejo stał bez słowa. Alfonso chciał podejść do zwłok ojca, jednakże cofnął się z przerażeniem.

Sternau przystanął tuż obok ciała, aby mu się przyjrzeć z bliska.

- Proszę się odsunąć - rozkazał Cortejo. - Zabraniam dotykania zwłok do czasu przybycia doktora Ciellego.

Sternau usłuchał, ale rzekł z największą pogardą:

- Cóż, istotnie doktor Cielli jest lekarzem sądowym. A co do pańskich zakazów w stosunku do mnie...

- Jako pełnomocnik zmarłego hrabiego mam nie tylko sposobność, ale i obowiązek pilnować, aby wszystko działało się zgodnie z literą prawa - odpowiedział Cortejo. - Mówiłem, że hrabia oszalał, należałem, by oka z niego nie spuszczać. Pan był innego zdania, i oto skutki. Pan, tylko pan ponosi odpowiedzialność za jego śmierć. Jestem przekonany, iż konsekwencje nie będą dla seniora zbyt przyjemne.

Na takie dictum Sternau wzruszył jedynie ramionami. Nie chciał się poniżyć do rozmowy z szubrawcem.

Doktor Cielli kazał długo na siebie czekać. Tymczasem Sternau, ku zdumieniu obecnych, zaczął obchodzić całą szczelinę, przeszukując po drodze każdy zakątek, oglądając uważnie każdy kamień, każdą skałę. Nie licząc się z tym, że naraża swe życie, wdrapał się nawet na to miejsce nad przepaścią, z którego' przypuszczalnie hrabia się rzucił.

Cortejo obserwował poczynania Sternaua z nie ukrywaną irytacją, ale nie mógł im przeciwdziałać.

W końcu zjawił się doktor Cielli.

- Dzień dobry, panie doktorze! - zawołał Cortejo. - Czekamy z niecierpliwością.

- Nie mogłem przybyć prędeej, don Gasparino.

- Czy słyszał pan, co się stało?

- Tak, opowiedział mi pański goniec. Biedny hrabia, jaki żałosny los mu przypadł. Ale cóż to za człowiek łązi po górach, jakby chciał sobie kark skrócić?

Wskazał na Sternaua, który wciąż jeszcze chodził wśród skał i kamieni.

- To pański sławetny kolega - szydził Cortejo. - Diabli wiedzą, czego tam szuka na górze.

Zauważywszy Ciellego Sternau zaczął osuwać się z góry z taką szybkością, że obecni poczuli zawrót głowy.

- Łazi po górach jak kot - zauważył Cielli.

- Raczej jak małpa - dodał Cortejo. - Śpieszy mu się, do wszystkiego chce wtrącić swoje trzy grosze. Mam nadzieję, że mu senior nie pozwoli już na żadną uwagę.

- Ależ oczywiście, że nie. Jestem lekarzem sądowym i znam swoje obowiązki. Czy możemy zaczynać?

- Tak.

Rozmowę tę toczyli półgłosem, tak że nikt z obecnych jej nie słyszał. Alkad podszedł do zwłok wraz z doktorem Ciellim i notariuszem.

- Przede wszystkim ma pan stwierdzić, czy nastąpiła śmierć

- zwrócił się Cortejo do doktora.

Cielli rzucił okiem na zdeformowane zwłoki i powiedział:

- Śmierć nastąpiła bez wątpienia.

- Proszę to zaprotokołować, panie sędzio - polecił Cortejo.

- A teraz należałoby jeszcze ustalić przyczynę śmierci.

- Śmierć nastąpiła wskutek runięcia w przepaść.

- I to należy zaprotokołować. Ale najważniejsza rzecz to ustalenie tożsamości nieszczęśliwego. Ma na sobie nocną koszulę hrabiego, jest boso. Hrabia targnął się w przystępie obłędu na swe życie, to wydaje się, fakt niewątpliwy. Zgadza się pan ze mną, doktorze?

- Najzupełniej.

Teraz z kolei Cortejo spytał rządęcę:

- Alimpo, czy wiadomo panu, jak był ubrany hrabia ostatniej nocy?

- Tak, bieliznę przyniosła hrabiemu moja Elvira.

Cortejo wskazał na krwawe strzępy koszuli, leżące obok zwłok. Alimpo podszedł bliżej i schylił się nad nimi.

- Tak, to koszula hrabiego.

- Niechaj teraz podejda tu wszyscy - zarządził Cortejo - i niechaj uznają, czy zwłoki te są zwłokami hrabiego.

Po chwili wszyscy obecni zgodnie stwierdzili, że są przekonani, iż mają przed sobą trupa hrabiego. Alimpo dodał jeszcze:

- Widzę na ręce pierścień ślubny, z którym hrabia nigdy się nie rozstawał.

W Cyganach widocznie chciwość ustąpiła przed ostrożnością.

- A więc nie ma żadnych wątpliwości, że to hrabia - rzekł Cortejo.

Po tych słowach podyktował sędziemu protokół, po czym podpisał go wraz z doktorem Ciellim.

- No, a teraz weźmiemy ciało na nosze - polecił. - Trzeba zanieść je na zamek.

Wówczas wystąpił Sternau, który przez cały czas nie odzywał się ani słowem.

- Sprzeciwiam się przeniesieniu zwłok na zamek.

- Co takiego? - oburzył się Cortejo. - Co pan ma tutaj do powiedzenia? W jakiej roli pan występuje?

- Występuję jako lekarz hrabiego.

- Były lekarz.

- Niech i tak będzie. W takim razie sprzeciwiam się przeniesieniu zwłok już nie jako lekarz, lecz jako człowiek. W okolicznościach takich jak obecne, władze mają obowiązek wysłuchać każdego, kto pragnie dorzucić choćby drobną uwagę, bo każdy szczegół może nabrać wielkiego znaczenia dla sprawy.

- Zgoda. Ale pańska uwaga, doktorze, wydaje mi się śmieszna i dziwna. Dlaczego nie należy przynieść ciała na zamek?

Oczy wszystkich zwróciły się na Sternaua. Cortejo mówił tonem wyniosłym i butnym, doktor Cielli nie starał się ukryć ironicznego uśmiechu, hrabia Alfonso lekceważąco kiwał głową. Reszta obecnych czekała w skupieniu na odpowiedź Sternaua.

- Te zwłoki nie powinny być przeniesione na zamek, gdyż to nie trup hrabiego, ale jakiegoś innego, nieznanego człowieka - rzekł zimno Sternau.

Słowa te zelektryzowały słuchaczy.

- Ach, tak - w głosie Corteja brzmiała szydercza nuta. - Więc nie jest to trup hrabiego Manuela? Czy pan nie cierpi przypadkiem na tę samą chorobę, która pchnęła hrabiego w objęcia śmierci? Zabrać zwłoki i koniec!

- Nie, zwłoki zostaną tutaj, dopóki nie powiem, co o nich sędzę - sprzeciwił się Sternau. - Potem możecie z nimi robić, co się wam podoba.

- Mnie zdanie pańskie nie interesuje. Jazda, zabierać ciało!

- Przepraszam pana, senior Cortejo - wtrącił alkad. - Jako przedstawiciel władzy oświadczam, że doktor Sternau musi być wysłuchany. Ścisłe rzecz biorąc, zwłoki powinny zostać na miejscu, dopóki nie obejrzy ich corregidor - (urzędnik sądu). - Tak było z trupami rozbójników, którzy w parku napadli na doktora, tak również z trupami tych, których zabił porucznik de Lautreville. Tu chciałem odstąpić od przepisu, przypuszczałem bowiem, że nie nastąpiło zabójstwo, ale nieszczęśliwy wypadek. Teraz sprawa się komplikuje. Ponieważ wyłącznie ja mam tutaj prawo do rozkazywania, więc pozwalam mówić doktorowi Sternauowi.

Sternau zapytał:

- Panie sędzio, czy wiadomo panu, kiedy hrabia zginął?

- Wczoraj rano.
- Więc kiedy mógł się rozstać z życiem?
- Najwcześniej wczoraj.

- A teraz niech pan się przyjrzy zwłokom, panie sędzio. Widać przecież, że śmierć nastąpiła co najmniej cztery dni temu. Niech się pan przyjrzy wnętrznościom: są ciemne, sine, popękane. Nie trzeba być lekarzem, by stwierdzić, że człowiek ten nie mógł umrzeć przed dwudziestoma czterema godzinami. Jeżeli wziąć pod uwagę, iż w kotlinie jest wilgotno i chłodno, można uznać za pewnik, że zwłoki muszą leżeć tutaj co najmniej dwa tygodnie. Jestem przekonany, że po tym, co powiedziałem, nikt z mieszkańców zamku nie da się wyprowadzić w pole zbrodniczym machinacjom...

- Żądam, by ten człowiek zamilkł! - przerwał Cortejo. Sędzia odparł:

- Sam wiem, jak mam postępować. Proszę mówić dalej, panie doktorze.

- Użyję przykładu - ciągnął Sternau. - Przypuśćmy, że znajdziemy zabitą kozę. W ciągu jakiego czasu nastąpi rozkład taki, jaki widzimy tutaj? Co pan myśli, sędzio?

- Nie prędzej niż w ciągu dwóch tygodni - odparł sędzia.

- To śmieszne — wtrącił Cielli - przyrównywać człowieka do kozy.

Sternau odparł ze spokojem:

- Użyłem przykładu, aby mnie lepiej zrozumiano. Pojęli to wszyscy prócz pana, mimo że jest pan lekarzem. Bardzo mnie to smuci.

- Nie przypuszczam, żeby pan chciał szydzić ze mnie! - wybuchnął Cielli.

- Chwila jest zbyt poważna na szyderstwa. Pierwszą podstawę mego podejrzenia już podałem. Teraz przechodzę do drugiej. Proszę obejrzeć prawą nogę trupa, która zachowała się w zupełnie dobrym stanie. Twierdzą stanowczo, że nie jest to noga hrabiego. Stopa jest znacznie szersza i większa, a skórę na podeszwie ma grubą, otartą. Człowiek tej pozycji co don Manuel de Rodriganda nie chodzi boso i nogi ma niezmiernie delikatne. Niech pan spojrzy, panie sędzio, i niech pan powie, czy przesadzam.

Notariusz, zbity z tropu, zapytał:

- A bielizna hrabiego?

- Z pewnością ktoś ubrał w nią tego człowieka, którego zwłoki mamy przed sobą.

- A pierścień?

- Włożono mu na palec.

- Więc jest pan zdania, że popełniono tutaj przestępstwo?

- Tak, bez wątpienia. Niech się senior dobrze przypatrzy tym zwłokom. Twierdzą stanowczo, że człowiek, który sam rzuciłby się w przepaść, choćby nie wiedzieć z jakiej wysokości, nie uległby takiemu zmiążdżeniu. Tego mężczyznę ktoś musiał strącić ze skały.

- Co znowu? To wierutny wymysł - zawołał Alfonso. Garbo blady był jak płótno.

Sternau ciągnął dalej:

- Udowodnię natychmiast, że mam rację.

Odszedł kilka kroków, podniósł jakiś kamień i pokazując go sędziemu zapytał:

- Co senior widzi na tym kamieniu?

- Krew.

- Nie, to nie krew. Niech doktor Cielli powie.

Sędzia pokazał kamień doktorowi Ciellemu, który odparł:

- Istotnie, to nie krew. To mózg. Zmarły uderzył zapewne głową o ten kamień.

- Nie - rzekł Sternau. - Wręcz przeciwnie. Chodźcie za mną, seniores!

Poprowadził ich w kierunku przeciwnym do miejsca, z którego podniósł kamień. Zatrzymawszy

się po paru metrach, wskazał na zagłębienie w ziemi, odpowiadające rozmiarom kamienia.

- Oto tu, w tym miejscu, leżał ten kamień. Zabrano go stąd i rozbito nim głowę trupa.

- Tak, to oczywiste! - zawołał sędzia.

- Ależ to jakieś fantasmagorie! - oponował Alfonso.

- Chodźcie, panowie, dalej, bo to jeszcze nie wszystko.

- Począł się wspinać na górę, a reszta za nim. Wdrapawszy się na szczyt, przystanął tuż nad przepaścią.

- Patrzcie, panowie - rzekł po chwili. - Oto miejsce, z którego rzucono zwłoki. Tu leżały. Widzicie ślady? Obok zaś są ślady najrozmaitszych nóg. Nie ulega wątpliwości, że stąd strącono trupa. Sądząc według śladów, dokonano wszystkiego dzisiejszej nocy.

- Co za bystry obserwator - pochwalił sędzia.

- Przekłęty obserwator! - mruknął pod nosem Cortejo. Cygan Garbo zbladł jeszcze bardziej. Zauważył to Sternau i zwrócił się do sędziego:

- Przekonamy się, czy i pan nie spostrzeże pewnych rzeczy. Czy nie domyśla się senior, kto mógłby nas poinformować najlepiej, jacy ludzie tu byli?

Sędzia po chwili zastanowienia pokręcił głową przecząco.

- W takim razie ja panu powiem. - Podeszedł do Cygana i położył mu rękę na ramieniu: - Ten człowiek powie nam wszystko dokładnie, on przecież znalazł ciało. Chodź no tu, mój chłopcze!

Wziąwszy Cygana za ramię, poprowadził go w kierunku śladów. Teren był gliniasty, ślady odznaczały się bardzo wyraźnie.

- Czy widzi pan, sędzio, że sandały tego Cygana są oblepione gliną?

- Rzeczywiście!

- I że noga jego dokładnie odpowiada śladom?

- I to prawda - stwierdził sędzia. - Cóż powiesz, gitano, na swoją obronę?

Garbo opanował się już i odparł:

- Ależ to zupełnie jasne. Poszedłem z dwoma kolegami po zioła.

Doszliśmy aż do przełęcz. Odpoczywaliśmy tam i stąd ślady.

- Sprytna z ciebie bestia - Sternau poklepał go po plecach. - A strzępek koszuli znalazłeś na krzaku, co?

- Tak - odpowiedział Garbo znowu zmieszany.

- Pokaż nam ten krzak.

- Chodźcie, odszukam go. Szukał, ale na próżno.

- Nie mogę go znaleźć - rzekł wreszcie.

- Byłem tego pewien - powiedział Sternau. - Jeżeli ktoś, spadający w przepaść z wysokiej skały, rozrywa koszulę, to powinny z niej zostać tylko poszarpane strzępy, ten zaś rąbek bielizny, który nam przyniosłeś, jest okrojony tak równo i dokładnie, że tylko ty sam mogłeś go odciąć.

- Znow ma pan rację - wszedł mu w słowo sędzia.

- Oświadczam tedy - ciągnął dalej, Sternau - że w żadnym wypadku nie mamy przed sobą zwłok hrabiego Manuela. Proszę o zaprotokołowanie mego oświadczenia. Żądam, by żaden ze śladów, które wskazałem, nie został zatarty. Mam nadzieję, iż zwłoki pozostaną tutaj, dopóki nie zjawi się corregidor, aby przeprowadzić dokładne śledztwo.

- Stanie się według pańskiego życzenia, doktorze - oświadczył alkad.

- Przy zwłokach pozostanie warta?

- Tak.

- A ten Cygan, który wydaje mi się bardzo podejrzany, będzie aresztowany?

- Jeżeli pan sobie tego życzy, tak.

Hrabia Alfonso, któremu Cortejo opowiedział, co zaplanował z Cyganem, począł się obawiać, że Garbo wygada się w więzieniu. Podszedł więc do sędziego mówiąc:

- Nie zniosę tego dłużej! Dlaczego senior stosuje się do życzeń tego przybysza? Czy nie wiadomo panu, że ja tu jedynie mam coś do powiedzenia jako syn zmarłego hrabiego?

Sternau wzruszył ramionami.

- Niech pan naprzód udowodni, że jest naprawdę synem hrabiego. Prawdziwy hrabia Alfonso odplłynął na morze z kapitanem Landolą. Uprowadzono go siłą.

Słowa te wprawiły obecnych w osłupienie. Alfonso skoczył do Sternaua ze słowami:

- Kanalio! Oszczerco! Uduśzę cię na miejscu!

Doktor wyprostował się, chwycił hrabiego w pasie, podniósł i podszedł z nim tuż nad przepaść.

- Ty chciałbyś mnie udusić, smarkaczu? - zapytał z ironią. - Czy mam cię strącić w przepaść za wszystkie oszustwa i łotrostwa, jakich się dopuściłeś? Nie, to ujma pokonać lub zabić takiego nicponia jak ty.

Odstąpił od przepaści i jak piłkę odrzucił Alfonsa. Następnie zwrócił się do sędziego:

- Jestem przekonany, że senior spełni swój obowiązek. Uchybienie mogłoby mieć niemałe konsekwencje. Chodźmy, senior Juan - zwrócił się do Alimpa.

Po odejściu Sternaua Alfonso podniósł się z ziemi. Mienił się na twarzy z wściekłości, nie miał jednak odwagi choćby słowem zaczepić oddalającego się doktora. Upokorzono go w obliczu ludzi, którzy winni uważać go za pana i władcę. Całą wezbraną złość wyładował teraz na przedstawicielu władzy.

- To wszystko stało się z pańskiej winy! - wrzeszczał. - Odplączę panu za to!

- Spełniłem tylko swój obowiązek - usprawiedliwiał się Alkad. Był zwykłym sędzią miejskim, poddanym hrabiego. Dopóki czuł fizyczne i moralne wsparcie Sternaua, przestrzegał prawa. Ale teraz gdy Sternau odszedł, zaczął tracić odwagę. Wyczuł to Cortejo. Podszedł do niego i ostro zapytał:

- Czy wie pan, sędzio, kim jestem?

- Tak. Jest senior pełnomocnikiem ekscelencji.

- W takim razie jestem wyrazicielem woli hrabiego, nieprawda? Czy chce pan istotnie pozbawić wolności tego niewinnego Cygana?

Alkad milczał zakłopotany. Korzystając z tego, notariusz zwrócił się do Garba:

- Niepotrzebny nam jesteś więcej. Możesz odejść. Nikt nie odważy się ciebie zatrzymać.

Garbo rozpromienił się. Ukłoniwszy się nisko notariuszowi, rzekł:

- Dziękuję. Jestem naprawdę niewinny.

I odszedł pewnym krokiem. Cortejo przywołał teraz ludzi, którzy mieli dźwigać nosze:

- Zanieście zwłoki hrabiego na zamek. Kto nie spełni polecenia, będzie natychmiast zwolniony ze służby.

Uśluwali bez wahania. Sędzia milczał jak zakłęty. Cały orszak wyruszył więc w kierunku zamku.

Doktor Cielli szedł z notariuszem i Alfonsem. Zostali nieco w tyle, mogli więc rozmawiać swobodnie.

- Sternau odwoła się z pewnością do najwyższego sędziego - rzekł Alfonso. - Ten człowiek nie zawaha się przed niczym.

- Nie ugnę się przed nim.

- Ale skąd on wywnioskował, że nie jestem synem hrabiego Manuela?

- Diabli go wiedzą.

- I skąd mu przyszło do głowy, że prawdziwy hrabia jest na morzu?

- Diabła samego pytaj! Sternau to jedyny nasz prawdziwy przeciwnik. Musimy się go pozbyć.

- A Roseta?

- Ee, obawiasz się kobiet?

Idący w kondukcje mieszkańcy zamku również rozmawiali żywo. Sternau był przez wszystkich lubiany, ale notariusza i Alfonsa lękano się bardzo.

Dotarto wreszcie na miejsce. Notariusz kazał złożyć ciało w jednej z piwnic, po czym udał się do swego pokoju, aby przejrzeć pocztę, która nadeszła w czasie jego nieobecności. Pierwszy list, jaki otworzył, był krótki i lakoniczny. Rzuciwszy nań okiem, Cortejo uśmiechnął się triumfalnie.

- Cudownie się wszystko składa. O niczym pomyślniejszym nawet nie marzyłem.

Trzymając list w ręku, poszedł do Clarisy, której Alfonso właśnie opowiadał o zajściu ze Sternauem.

- Gasparino, czy to wszystko prawda, co tu słyszę od Alfonsa? Więc grozi nam wielkie niebezpieczeństwo?

- Groziło nam wielkie niebezpieczeństwo, obecnie już zażegnane. Teraz wszystko zło minęło. W tym liście jest nasza nadzieja - pokazał im zapisany arkusz.

- Cóż to za list, ojcze? - zaciekał się Alfonso.

- To wiadomość od bankiera z Barcelony. Hrabia wypłacił Sternauowi honorarium.

- No i co z tego? - Clarisa była rozczarowana. - Tego należało się spodziewać.

- A jednak list wydaje doktora w nasze ręce. Otrzymał należność nie gotówką, lecz w formie czeku. Czek ten przesłał bankierowi z poleceniem, aby sumę przekazano do Moguncji. Bankier przekazał pieniądze i zawiadania o tym hrabiemu.

Alfonso nie rozumiał w dalszym ciągu.

- Dlaczego przez to doktor wpada w nasze ręce? Mów jaśniej.

- Zobaczcie, jaka jest wysokość tej sumy. Podał im papier. Oboje wydali okrzyk zdumienia.

- Przecież to majątek! - zawołał Alfonso.

- Tak, to honorarium już nie hrabiowskie, ale królewskie. Lecz trudno się dziwić hrabiemu, że za odzyskanie wzroku wynagrodził Sternaua tak szczerze.

- Nie rozumiem wciąż jeszcze.

- Zaraz zrozumiesz. Hrabia był ślepy, nie mógł pisać.

- Dalej, dalej!

- Wszystkie papiery ja przygotowywałem i nawet w zastępstwie hrabiemu podpisywałem. A teraz ten czek z jego podpisem...

- Aha, zaczynam rozumieć.

- ...czek, który nie jest nawet zanotowany w ksiązkach.

- Co takiego?

- Nie jest zanotowany, powiadam. Od trzech dni nie wciągałem jeszcze niczego do ksiąg, teraz wpiszę zaś, iż hrabia polecił wypłacić Sternauowi tysiąc duros. Będzie to wspaniała broń przeciw doktorowi.

- Cudownie to uknułeś - ucieszyła się Clarisa. - Bóg wyposażył cię w nie lada spryt. Teraz nareszcie będziemy górą.

- Zajmę się natychmiast tą sprawą. Ty zaś, Alfonso, jedź teraz konno do Manresy.

- Po co?

- Pytasz jeszcze? Trzeba sprowadzić policję. Dziś jeszcze powinien zostać aresztowany.

- A Roseta? Jeżeli była świadkiem podpisywania czeku?

- To poważna okoliczność, zastanowię się jeszcze nad nią. Zresztą, nie chodzi mi nawet o to, aby

otrzymać z powrotem pieniądze i ukarać Sternaua za sfałszowanie czeku. Najważniejsze, aby go na jakiś czas unieszkodliwić. Że mi się powiedzie, jestem przekonany. Najwyższy sędzia to przecież mój przyjaciel.

- Uważasz, że Sternaua zabiorą do Barcelony, nie do Manresy?

- Oczywiście, że do Barcelony, chodzi tu przecież o bardzo wysoką sumę. Napiszę tymczasem list do corregidora. Gdyby Roseta weszła nam w paradę, możemy ją przecież bez trudu pozbawić poczytalności.

Wróciwszy do zamku, Sternau zameldował się natychmiast u Rosety. Kazała go wpuścić. Zastał condesę w towarzystwie Angielki. Była śmiertelnie blada, oczy miała zapuchnięte od płaczu.

- Niech pan powie krótko i wyraźnie: umarł - powiedziała słabym głosem.

Sternau podszedł bliżej, ucałował jej dłoń i odparł:

- Niech pani nie rozpacza. Żyje.

- Boże! Żyje? Ale gdzie jest?

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że zwłoki, do których nas zaprowadził Cygan Garbo, nie są zwłokami hrabiego. Czy ma pani dosyć siły, by mnie wysłuchać?

- Przy panu, Carlosie, zawsze się czuję silna.

- Niech więc pani słucha. Gdy przybyłem z Paryża, spośród mieszkańców zamku znałem tylko panią. Nikomu nie wyrządziłem krzywdy, nikogo nie obraziłem, a jednak zostałem napadnięty w pierwszych dniach mego pobytu. Nie ulega wątpliwości, że nie był to napad rabunkowy, a próba morderstwa. Ponieważ nie miałem tu wrogów osobistych, doszedłem do przekonania, że wrogów tych przysporzył mi cel, dla którego tutaj przyjechałem. A że miałem ratować pani ojca, musiał być ktoś, komu zależało, aby do tego nie dopuścić.

Roseta przeraziła się.

- Czy to możliwe? Ojciec mój jest przecież taki dobry.

- Tak, jest dobry, ale równocześnie jest panem milionowej fortuny.

- Nie rozumiem, co to ma za związek...

- Hrabia nie miał wrogów tak samo, jak ja. Chodziło tu więc nie o jego osobę, ale o majątek.

- Majątek przechodzi na mego brata.

- No właśnie. Fakt, że brat pani był od najmłodszych lat w Meksyku, spowodował, że nabrałem pewnych podejrzeń. Obserwowałem wszystko dokładnie. Ojca pani leczyło trzech marnych medyków, którzy mieli poparcie trzech osób, mieszkających na zamku.

- Myśli pan o notariuszu?

- Tak.

- I o Clarisie?

- Tak.

- Kto jest trzecią osobą?

- Brat pani.

- To okropne! Ale rzeczywiście od pierwszej chwili był pańskim zaciętym wrogiem.

- Obserwowałem tę trójkę. Na krok nie odstępowała od siebie. I mówię to wprost, bez osłonek, pragnęła śmierci hrabiego Manuela.

- Boże! To straszne!

- Bóg pozwolił mi uratować pani ojca, niestety, hrabia oszalał. Oszalał wskutek zażycia trucizny. Kto mu ją podsunął? Tego nie wiem. Byłem wtedy w Barcelonie, pani u rządcy, hrabia został sam. Truciznę wlał mu ktoś do czekolady. Przypadkowo znam środek, który neutralizuje jej działanie. Gdy przekonano się, że uleczyć ten obłęd, porwano pani ojca. To wszystko.

- Więc twierdzi pan, że ojciec sam nie wyszedł z pokoju?

- Był za słaby, aby wstać i chodzić.

- Zabito go?

- Nie przypuszczam. Nie wiem tylko, gdzie jest. W każdym razie zwłoki, które widziałem niedawno, to z pewnością nie zwłoki hrabiego.

Sternau opowiedział szczegółowo zajście nad baterią.

- Chwała Bogu, że to nie ojciec! - zawołała Roseta. - Teraz znowu wierzę, że uda nam się zdemaskować i unieszkodliwić tych ohydnych spiskowców.

Sternau wyciągnął do niej rękę:

- Życie moje należy do pani, Roseto. Poświęcę je, aby odnaleźć hrabiego. A pani, miss Amy, czy będzie nam pomagać, czy będzie nam siostrą?

- Tak.

Doktor uśmiechnął się:

- Mówiąc siostra, miałem na myśli co innego, niż pani przypuszcza. Czy mogę być szczery?

- Niech pan mówi otwarcie.

- Będzie pani naszą siostrą, gdy zostanie hrabiną de Rodriganda.

- Hrabiną de Rodriganda? Jak pan to rozumie?

- Zostanie pani po prostu żoną hrabiego Rodrigandy. Przestanie się pani dziwić, kiedy się dowie, że prawdziwego hrabiego Alfonsa nie ma na zamku. Jest na morzu.

Twarz Angielki oblał rumieniec.

- Mówi pan tak zagadkowo...

- Widziała go pani tutaj na pewno.

- Jak to?

- Widziała go pani jako porucznika huzarów.

Amy oniemiała. Patrzyła na Sternaua w osłupieniu. A on ciągnął dalej:

- Czy panie uważają za normalne, aby syn życzył ojcu śmierci lub przyczyniał się do jego szaleństwa?

- Nie, to nie do pomyślenia.

- W takim razie senior Alfonso, który to robił, nie jest synem hrabiego Manuela.

Roseta zerwała się i zawołała:

- Czy być może? Nie jest synem mego ojca, nie jest moim bratem? Kim więc jest?

- Nie jest synem don Manuela, ponieważ i ja, i panie widzieliśmy prawdziwego hrabiego Alfonsa.

- Gdzie, kiedy?

- Niechaj pani, condeso, wejdzie do zamkowej galerii obrazów i porówna portret hrabiego Manuela z czasów jego młodości z rysami porucznika de Lautreville'a.

Amy przewalała mu:

- Co pan wie o Alfredzie de Lautreville'u?! Wyznał mi, że jego życie jest otoczone jakąś tajemnicą, którą mi obiecał wyjawić kiedyś w przyszłości.

- Powiedział prawdę. On jest hrabią Rodrigandą. Alfonso to jedynie podstawiony oszust. Dlatego porwano porucznika de Lautreville'a i uprowadzono na morze.

- Porwano go!?! - zawołała Angielka, zaciskając małe piąstki. - Kto się odważył? Zemszczę się za to!

Sternau uśmiechnął się.

- Niech pani przyzna, że kocha hrabiego.

- Tak - odparła szczerze. - Kocham go. Będę szukać Alfreda i wierzę, że go odnajdę. Biada jego wrogom! Chociaż jeszcze dziś muszę opuścić zamek, uczynię wszystko, by go odszukać. Niech pan mówi dalej.

Sternau długo opowiadał paniom, co spowodowało, że jego przypuszczenia z czasem zmieniły się w pewność.

Roseta odjechała do Pons, odprowadzając Angielkę, którą listownie wzywał ojciec. Żegnając doktora z wielką serdecznością, Amy obiecała pomówić o wszystkim ze swoim ojcem i prosić, by też zajął się tą sprawą.

Szybki wyjazd Angielki był przyczyną, że ani Sternau, ani Roseta nie zainteresowali się, co uczyniono ze zwłokami rzekomego hrabiego Manuela. Sternau nie miał więc pojęcia, że ciało przyniesiono na zamek i że sędzia nie spełnił swego obowiązku. Poszedł na wieś, żeby odszukać Mindrella, który wrócił znad przepaści, gdzie z daleka był świadkiem całego zajścia. Sternau zwierzył mu się ze swoich przypuszczeń i poprosił, aby ruszył na poszukiwania hrabiego. Mindrello, otrzymawszy pięćdziesiąt duros na wydatki, obiecał wypełnić to zadanie. Sternau wrócił uspokojony na zamek.

W WIĘZIENIU

Sternau siedział w swoim pokoju. Chciał pracować, ale myśl o niedawnych wypadkach pochłaniała go zbyt silnie. Nie słyszał nawet pukania do drzwi i dopiero, gdy powtórzyło się kilkakrotnie, powiedział:

- Proszę wejść.

Zobaczył przed sobą obcego człowieka.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Czy mam przyjemność mówić z doktorem Sternauem, lekarzem hrabiego Manuela? - zapytał z kolei nieznajomy zamiast odpowiedzieć.

- Tak.

- Wysłała mnie do pana hrabianka Roseta de Rodriganda.

- Przyjechał pan z Pons?

- Moja oberża jest w Berdzie, niedaleko Manresy. Hrabianka i jakaś druga pani zatrzymały się u mnie po drodze do Pons. Proszą, żeby senior przybył natychmiast.

- Po co?

- Tego nie wiem.

- Czy przyjechał pan powozem hrabianki?

- Nie.

- Proszę siadać. Za chwilę będę gotów do drogi.

Nie podejrzewając nic złego, Sternau przebrał się, zamknął szafy i biurko, po czym wyszedł z nieznajomym przed bramę, gdzie czekał powóz zaprzęgnięty w parę koni.

W oknie na pierwszym piętrze stał Cortejo ze swoją rodziną.

- Już wsiada - uśmiechnął się z ironią.

- Teraz go mamy - ucieszyła się Clarisa. - Świetny miałeś pomysł, mój drogi Gasparino.

- Wyobrażam sobie minę doktora, gdy się dowie prawdy! Powóz jechał z początku w kierunku Manresy, potem jednak skręcił na szosę barcelońską.

- Woźnica jedzie w złym kierunku - rzekł Sternau.

- Nie, jedzie dobrze.

- Do Manresy?

- Skądże znowu! Do Barcelony.

Ta kategoryczna odpowiedź poruszyła Sternaua.

- Kim senior jest?

- Kim jestem? Corregidorem z Manresy. Wiozę pana do Barcelony. Tam sędzia śledczy pomówi z panem.

- Sędzia śledczy? O czym?

- Nie wiem. Dowie się pan później.

- A więc okłamał mnie pan!

- To tylko drobny podstęp, do którego często się uciekamy.

- A jeżeli będę się opierać?

- Nic panu nie pomoże. Proszę spojrzeć przez tylne okienko karety. Towarzyszy nam eskorta czterech uzbrojonych w karabiny jeźdźców.

- Postępuje pan ze mną jak ze zbrodniarzem.

- Ależ to tylko formalność! Jestem prawie pewien, że wróci pan na zamek natychmiast po przesłuchaniu. Cieszyłbym się, gdybym mógł pana odwiedzić. Jako cudzoziemiec, nie orientujący się w

naszym kraju, wymaga pan opieki.

- Czy na zamku wiedzą, dokąd mnie senior wiezie?

- Tak.

- Komu pan o tym powiedział?

- Kilku służącym.

I to było kłamstwem, gdyż oprócz notariusza i jego rodziny nikt nie wiedział dokąd powóz jedzie.

Na tym zakończyła się ich rozmowa. Sternau zamyślił się, a urzędnik drzemał.

Przybyli do Barcelony późnym popołudniem. Powóz stanął przed ponurym, starym budynkiem, którego okna były zaopatrzone w grube, żelazne kraty.

Wysiadając z powozu, Sternau zauważył, że idzie za nim czterech uzbrojonych ludzi. Wszedł do bramy budynku, później zaprowadzono go przez wąskie kręte schody do wielkiego, pustego pokoju z jednym oknem i wieloma drzwiami.

- Proszę tu poczekać - rzekł urzędnik i zapukawszy do jednych drzwi, wyszedł. W pokoju została eskorta. Po kilkunastu minutach urzędnik zjawił się znowu.

- Proszę wejść - powiedział, wskazując na drzwi, przez które wrócił.

Doktor znalazł się w pokoju o dwóch zakratowanych oknach. Przy ścianach stały szafy pełne akt, a tuż obok jednego okna olbrzymie biurko, przy którym siedział mały, zasuszony człowieczek. Przyglądał się lekarzowi zjadliwie przez olbrzymie okulary w rogowej oprawie.

Po chwili człowieczek wziął do ręki arkusz papieru i pióro.

- Nazwisko? - zapytał.

- Karol Sternau.

- Pochodzenie?

- Moguncja.

- Gdzie to leży?

- W Niemczech.

- Zawód?

- Lekarz. Ale proszę pozwolić mi na pytanie: kim pan jest i czego pan chce ode mnie?

- Jestem sędzią śledczym. Czego zaś chcę, od pana, dowie się senior podczas przesłuchania.

- Podczas przesłuchania? To brzmi, jakbym był oskarżony.

- Tak też jest istotnie. Zresztą, nie po to pana tutaj sprowadziłem, żeby mi pan zadawał pytania.

To ja pytam, a pańskim obowiązkiem jest odpowiadać. Ile pan ma lat?

- Trzydzieści.

- Karany?

- Nie.

- Żonaty?

- Nie.

- Posiada pan jakiś majątek?

- Nie.

- Naprawdę? Nie?

- Nie.

- Ile gotówki ma pan przy sobie?

- Około trzydziestu duros.

- Niech no pan pokaże.

Sternau podał sakiewkę. Sędzia przeliczył zawartość i zanotował sumę, podobnie jak notował wszystkie odpowiedzi Sternaua.

- Gdzie pan mieszkał ostatnio?

- Na zamku Rodrigandów.

- A przedtem?

- W Paryżu.

- Co pana sprowadziło na zamek?

- Zostałem wezwany do chorego hrabiego Manuela.

- Leczył go pan?

- Tak.

- Czy miał pan do tego prawo?

- Kto miał czy mógł mi zabronić?

- Ja. Czy był pan stałym lekarzem w Rodrigandzie? Czy miał pan urzędowe zezwolenie na wykonywanie praktyki?

- Nie.

- Czy pan kończył studia w Hiszpanii?

- Nie.

- Czy pan płacił w Hiszpanii podatki?

- Nie.

- I mimo to wykonywał pan praktykę! No tak. Pierwsze przestępstwo jest ustalone już podczas pierwszego przesłuchania. Teraz może senior odejść.

- Mówił pan o pierwszym przesłuchaniu. Czy będzie ich więcej?

- Naturalnie. O wiele więcej.

- Co będzie ze mną?

- Dziecinne pytanie. Zostanie pan u mnie. Sień druga, pokój numer cztery.

- Czy to ma znaczyć, że jestem aresztowany?

- Oczywiście - uśmiechnął się człowieczek.

- Na czyje żądanie, na podstawie jakiej skargi?

- O tym się pan później dowie.

- Mam chyba prawo żądać wyjaśnień!

Sędzia skurczył się i rzekł z nie tajonym zadowoleniem:

- Tak, prawo do pytania pan ma. Ale ja mam prawo do nieodpowiadania.

- Słyszał pan, że jestem Niemcem? Żądam pozwolenia na rozmowę z ambasadorem.

- Dobrze, dobrze, załatwimy to.

- Żądam tej rozmowy natychmiast!

- Dobrze, dobrze.

Sędzia bawił się doskonale kosztem doktora. Zadzwoił. Po chwili zjawił się ponury, barczysty dryblas, ubrany w coś, co miało przypominać uniform.

- Ten pan chce mówić z ambasadorem niemieckim - zwrócił się do niego sędzia. - Zaprowadź go do ambasadora, ale prędko.

Dryblas zarżał jak koń i wskazał Sternauowi drzwi:

- Jazda! Marsz!

Sternau zapytał jeszcze sędziego:

- Czy mogę prosić o moją sakiewkę?

- Prosić pan może, ale jej nie dostanie. Zatrzymam ją tymczasem przy sobie. Nie będzie panu potrzebna, tu przecież nie jarmark. Idźże pan do swego ambasadora!

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że sędzia naigrawa się z niego. Sternau zrozumiał, że

oporem nic nie wskóra. Poszedł więc za dryblasem. Zatrzymali się przed celą numer cztery z żelaznymi drzwiami.

- Jazda! Marsz!

Były to, zdaje się, jedyne słowa, znane strażnikowi. Kiedy więzień wszedł, zatrzęsął za nim drzwi. Sternau doznał w pierwszej chwili uczucia, jakiego zapewne doznaje człowiek, który stojąc w wodzie, zaczyna tracić grunt pod nogami. Zdawał sobie sprawę, że od chwili zamknięcia tych okropnych drzwi, przestał być istotą wolną i samodzielną, że nie ma imienia, że imieniem będzie mu odtąd numer celi, w której go zamknięto. Może tu zachorować, umrzeć i nikt mu nie pomoże, nikt się nad nim nie zlituje.

Cela miała tylko jedno małe okno, gęsto w dodatku zakratowane, więc panował w niej ponury mrok. Była to izba na sześć kroków szeroka, na cztery długa. Na ziemi stały dwie cuchnące prycze. Z jednej, na widok doktora, podniosła się jakaś postać.

- Aha, nowy gość - powitał go słaby głos. - Dobry wieczór.

- Dobry wieczór.

- Jesteś pierwszy raz w więzieniu?

Sternau słyszał nieraz, że więźniowie tykają się wzajemnie. Odpowiedział więc grzecznie:

- Tak, pierwszy raz.

- A dlaczego cię wsadzili?

- Nie wiem.

- Eee, nie udawaj.

- Kiedy naprawdę nie wiem.

- Tak mówi każdy. Siadaj tu na pryczy.

- Czy jest czysta?

- Hm...

Odpowiedź ta rozpraszała wątpliwości. Mimo to Sternau usiadł.

- Kim jesteś? - zapytał dotychczasowy mieszkaniec celi.

- Jestem lekarzem.

- Pan jest lekarzem? W takim razie przepraszam, że mówiłem panu ty. Teraz wierzę, że senior nie wie, dlaczego go tutaj zamknięto. Kto pana przesłuchiwał? Sędzia śledczy?

- Tak.

- To podła kanalia. Czy pan wie, kiedy pana wezwie na następne przesłuchanie?

- Kiedy?

- Za dwa, może za trzy miesiące.

- To byłoby straszne!

- Taki jest jego zwyczaj. Czy jest pan głodny, czy chce się panu pić?

- Nie.

- Strażnik przyniósł podwójną kolację, wiedziałem więc, że będę miał kolegę.

- Z czego składa się kolacja?

- Z suchego chleba i stęchłej wody.

- A śniadanie?

- Z niczego.

- A obiad?

- Z łyżki gorącej wody, w której pływa trochę fasoli albo grochu.

- I to wszystko?

- Wszystko.

- Jak długo pana tutaj trzymają?

- Prawie rok.

- Do licha! Na tym wikcie?

- Dlatego umrę. Jestem śmiertelnie chory. Cieszę się, że los zesłał mi lekarza. Wprawdzie nie uratuje mnie pan, ale przynajmniej powie, ile jeszcze pożyję. Oby Bóg dał, by jak najprędzej skończyła się ta męka!

Sternau nie widział w ciemnościach twarzy towarzysza niedoli. Był jednak przekonany, że to dobry człowiek. Pełen współczucia dla nieszczęśliwego, zapytał:

- Jak długo jeszcze ma pan siedzieć?

- Dwa lata.

- Czy mogę spytać, za co seniora zamknięto?

- W gniewie rzuciłem się na człowieka.

- Zabił go pan?

- Niestety nie, a szkoda, bo byłoby o jednego łotra mniej.

- Co panu dolega?

- Teraz czuję bóle w krzyżu, przedtem dokuczała mi tylko nostalgia. Zżarła mnie tęsknota za morzem, zabrała mi wszystkie siły.

- Jest pan żeglarzem?

- Tak, byłem sternikiem.

- Co za kontrast: wolne, otwarte morze i ta ciasna nora!

- Tak, panie. Płakałem i krzychałem, odchodziłem od zmysłów, biłem głową o mur. I co z tego? Siły mnie opuściły, głód mnie zmógł i oto z dnia na dzień jestem spokojniejszy, aż mnie wyciągną kiedyś z tej celi i wrzucą do dołu. A wszystko zawdzięczam pewnemu notariuszowi.

- W takim razie jesteśmy istotnie towarzyszami niedoli. Nie wiem wprawdzie, o co mnie oskarżono, ale jestem święcie przekonany, że dostałem si, a tu również dzięki pewnemu notariuszowi.

- Skąd pana przywieziono?

- Z zamku Rodrigandów.

- Na Boga, czy to możliwe? I ja tam zostałem uwięziony.

- Naprawdę? - zdumiał się Sternau. - Jak się nazywa ten notariusz?

- Gasparino Cortejo.

- Do diabła! Czy to na niego pan się targnął?

- Tak. Później opowiem panu o tym szczegółowo, dzisiaj brak mi sił. Tam w kącie stoi dzban z wodą i porcja chleba. Dobranoc.

Sternau rozciągnął się na pryczy.

Gdy się obudził, był ranek. W jego słabym świetle można już było rozpoznać poszczególne przedmioty. Towarzysz niedoli wstał i życzył mu dobrego dnia.

- Przyglądam się seniorowi już długo. Widzę, że tu nie miejsce dla pana. Może wolałby pan być sam? Ale proszę bardzo, niech mnie senior nie opuszcza.

- Przecież to nie ode mnie zależy.

- Przeciwnie. Wszyscy więźniowie siedzą w celach pojedynczych, tylko mnie dano towarzysza, bo jestem najbliższym kandydatem na tamten świat. Jeżeli pan zażąda, wyznaczą panu osobną celę.

- Chętnie zostanę z panem.

- Dziękuję.

- Kiedy otwierają te drzwi?

- W południe.

- Czy można wtedy prosić o coś, żądać czegoś?

- Tak, ale nigdy nie ma odpowiedzi. Tu nic nie pomoże: ani prośby, ani groźby, ani podstęp, ani siła.

- Jestem cudzoziemcem. Zażądam, aby wezwano mego ambasadora.

- Nigdy go senior nie zobaczy. Cortejo przecież pana tu wpakował, a sędzia i on to zażyli kumple. To dwa najczarniejsze łotry pod słońcem.

- Tak pan uważa?

- Mówię szczerą prawdę. Niech pan spojrzy na mnie. Byłem kiedyś człowiekiem zdrowym i silnym. A co zrobili ze mnie ci szubrawcy?!

Sternau przyjrzał mu się dokładnie. Był to szkielet powleczonej suchą, przezroczystą skórą. Jego godziny są policzone - pomyślał lekarz. Czy i moje również? Nie, nie! Nigdy!

W południe otworzono judasza i wsunięto przez niego dwie miski zupy.

- Słuchajcie, czy nie można by...

Judasz został zamknięty, zanim Sternau dokończył zdanie.

- Tak będzie co dzień, doktorze, aż w końcu zacznie się z panem to samo co ze mną.

Tak minął tydzień, dwa. Sternau tracił panowanie nad sobą, myśl o Rosecie nie dawała mu spokoju. Nie mógł jeść ani spać. Strażnik był głuchy na wszystkie pytania. O ucieczce ani marzyć. Mur bowiem był niezwykle gruby, a jedyne okienko, umieszczone wysoko, zbyt małe. Znowu minęły dwa tygodnie, a więc miesiąc od aresztowania. Obaj więźniowie leżeli na pryczach.

- Panie - rzekł towarzysz do doktora - byłem niegdyś zdrowym, mocnym chwatem. Gdybym wtedy dostał w ręce tego Corteja!

- I ja dałbym mu radę.

- Tak, z pana prawdziwy Goliat. Pan stworzony na marynarza. Dałby senior radę dwudziestu Murzynom i dziesięciu Anglikom.

- Skąd przyszli panu do głowy Murzyni i Anglicy?

- Ciekaw senior? Będzie pan miał złe zdanie o mnie, ale cóż, zasłużyłem na to. Zresztą już od dawna mam ochotę opowiedzieć panu koleje mego życia.

- Więc słucham. Każdy z nas ma coś na sumieniu.

- No tak, ale grzech grzechowi nierówny. Byłem najpierw marynarzem, później handlarzem Murzynów, wreszcie zbójem morskim -piratem. Nazywam się Jacques Tardot. Miałem dobrych rodziców, poczciwych ludzi. Wykierowali mnie na marynarza i gdyby nie to, że wpadłem w złe ręce... Nie wiedziałem o tym, że człowiek ten jest handlarzem niewolników i rozbójnikiem. Zorientowałem się dopiero drugiego dnia, a było to już na pełnym morzu, na statku „Lion”. Kapitan mój, Grandepriise, okazał się istnym szatanem, ja zaś pod jego wpływem przedzierzgnąłem się w pomniejszego czarta. Niejednego Murzyna i Anglika mam na sumieniu. Za to wszystko spotkała mnie teraz kara.

Po chwili milczenia ciągnął dalej:

- Kapitan prowadził interesy z notariuszem.

- Z Gasparinem Cortejo?

- Tak. Ilekroć przybywaliśmy do Barcelony, Cortejo przychodził na statek i godzinami siedział nad księgami rachunkowymi w kajucie kapitana.

- Czy nie zna pan przypadkiem kapitana Landoli?

- Nie.

- A statku „La Pendola”?

- Także nie. Dlaczego pan o to pyta?

- Bo Cortejo ma różne konszachty z tym Landolą.

Sternau nie mógł wiedzieć, że Grandepriese i Landola to ten sam człowiek i że statek „La Pendola” nazywał się niegdyś „Lion”.

- To do niego podobne. Jest bardzo bogaty. Pewnego razu byliśmy z jego polecenia w Meksyku...

- W Meksyku? W jakim mieście?

- W Veracruz. Popłynęliśmy tam, aby zabrać jeńca. Umieszczono go za kajutą kapitana. Z wyjątkiem mnie nikt z całej załogi nie widział tego człowieka. Był to mężczyzna już niemłody, a przystojny jeszcze. Kapitan nazywał go Fernando. Przepłynęliśmy z nim wybrzeże wschodniej Afryki aż do miejscowości Zejla, gdzieśmy go sprzedali do Hararu.

- To był biały?

- Tak.

- To okropne!

- Ani mniej, ani bardziej okropne niż sprzedaż Murzyna. Zresztą, nie moja to sprawa i nie ode mnie zależna. Kiedy wróciliśmy do Barcelony, kapitan wysłał mnie na zamek Rodrigandów, abym zawiadomił notariusza, że Meksykańczyka oddano w odpowiednie ręce. Cortejo wściekał się, żeśmy jeńca nie zabili, kłął, na czym świat stoi. Odpowiedziałem mu ostro. Uderzył mnie. Oczywiście nie pozostałem dłużny, zażyłem go po marynarSKU. Padł na ziemię jak kłoda, ja zaś odszedłem. Na drugi dzień Cortejo zjawił się na statku. Nie wspomniał nawet o zajściu. Dopiero trzeciego dnia kapitan posłał mnie z listem do sędziego śledczego. Ten przyjął mnie bardzo grzecznie i kazał zamknąć. Od tego czasu nie opuściłem celi. Pewnego dnia przez uchylone drzwi sędzia odczytał mi wyrok. Oto wszystko.

Całą tę historię Tardot opowiedział tonem lekkim, niemal żartobliwym, właściwym marynarzom. Kiedy jednak skończył, zdawał się być ogromnie wyczerpany. Sternau nie przypuszczał nawet, jak cenne kiedyś będzie dla niego to opowiadanie towarzysza niedoli.

Tardot opadał z sił z dnia na dzień. W miarę jak śmierć się zbliżała, coraz bardziej żałował swych grzechów. Myśl, że wkrótce stanie przed Stwórcą, nie dawała mu spokoju. Widząc stan więźnia, dozorca zdobył się na coś, czego nie czynił nigdy: zaszczyił go kilkoma słowami. Obiecał nawet przysłać lekarza więziennego.

Upłynął jeszcze jakiś czas, nastąpiła zima. Pewnego wieczora Tardot leżał na pryczy, obok niego zaś siedział Sternau i pocieszał chorego, choć wiedział, że nadchodzi jego ostatnia godzina. Z daleka słyhać było dźwięk dzwonów, wzywających do modlitwy wieczornej.

Nagle klucz zgrzytnął w zamku, otworzyły się drzwi. Wszedł dozorca w towarzystwie lekarza i pokazując na drzwi krzyknął na Sternaua:

- Jazda! Marsz!

Tardot podniósł się na pryczy i zaczął błagać:

- Zostawcie go tutaj! Był mi jedyną pociechą. Zostawcie go, zostawcie!

Dozorca spojrzał pytająco na lekarza, a gdy ten skinął głową, że się zgadza, odszedł zamykając drzwi za sobą.

Lekarz usiadł na pryczy i w świetle lampy, pozostawionej przez strażnika, przyglądał się więźniom. Później, znacząco patrząc na drzwi, zadał choremu kilka pytań. Podczas gdy Tardot odpowiadał na nie, położył na ziemi jakiś przedmiot. Sternau nachylił się i poczuł w ręku wielki, ciężki klucz. Ogarnęła go niezmierna radość. Opanował się jednak, czując na sobie ostrzegawczy wzrok lekarza.

Po rozmowie z lekarzem Tardot upewnił się, że koniec już bliski.

- Chwała Bogu - wyszeptał. - Nie będę żył dłużej niż jeszcze parę godzin. Niech pan zostanie przy mnie, aż zamknę oczy. I niech mnie pan nie opuszcza mój przyjacielu.

- Dobrze, zostaniemy obaj - rzekł lekarz, pochylając się nad chorym. Przy tej sposobności podał Sternauowi porfel. Sternau schował go ostrożnie, tak by nie zauważył tego dozorca, który - jak sądził - stał przy judaszu.

Po jakimś czasie umierający wyciągnął ręce do Sternaua i powiedział:

- Niech pan będzie zdrowy. Dziękuję za wszystko dobro, jakie mi pan okazał. Bądź wolny... i szczęśliwy...

Były to jego ostatnie słowa. Westchnął głęboko i wyzionął ducha.

Lekarz oddalił się w milczeniu. Po chwili klucz znowu zgrzytnął w zamku i wszedł dozorca.

- Umarł? - zapytał.

- Tak

- Zabrać go stąd!

Obrzucił wzrokiem olbrzymią postać Sternaua.

- Zaniesiesz go?

- Zaniosę - odpowiedział Sternau z pozornym spokojem, choć w skroniach mu pulsowało.

- Chodźmy.

Sternau wziął zmarłego na ręce i wyszedł powoli za strażnikiem. Kroki ich rozbrzmiewały głuchym echem po olbrzymim budynku. Nie „było w nim prawie nikogo. Urzędnicy, którzy tu w dzień pracowali, dawno poszli do domu. Przez labirynt schodów Sternau i dozorca wydostali się na dziedziniec. Dozorca wyjął z kieszeni pęk kluczy i jednym z nich otworzył wąskie drzwi. Znaleźli się w niskim pomieszczeniu. Na szerokim stole leżały dwie otwarte trumny.

- Ładować! - mrknął.

Sternau, aczkolwiek jako lekarz przyzwyczajony do widoku śmierci, nie mógł opanować uczucia grozy.

- Naprzód! Trupa na stół - rozkazał dozorca. Gdy Sternau spełnił polecenie, krzyknął ostro: - Naprzód! Marsz!

- Nie, w tył marsz! - odpowiedział Sternau, zadając dozorce tak silny cios pięścią w głowę, że tamten zwalił się nieprzytomny na ziemię.

- Chwała Bogu, z sił nie opadłem - rzekł do siebie Sternau. Szybko wyszedł z pomieszczenia, drzwi zamknął od zewnątrz kluczem pozostawionym przez dozrocę i pośpieszył do bramy głównej. Drżąc z niepokoju, czy klucz otrzymany od lekarza pasuje, jak przypuszczał, do niej, wetknął go do zamka. Brama otworzyła się, wyszedł na ulicę. Był wolny!

Pożegnawszy w Pons przyjaciółkę, Roseta pośpiesznie powróciła do Rodrigandy, dręczyły ją bowiem złe przecucia. Prosto z powozu poszła do mieszkania rządcy. Państwo Alimpo zajęci byli rozmową na ulubiony temat: mówili o doktorze.

- Czy jest w domu? - zapytała hrabianka.

- Nie. Pojechał gdzieś.

- Dokąd?

- Nie wiadomo.

- Czy sam odjechał?

- Nie. Cudzym powozem.

- Czyj to był powóz?

- Prefektury sądowej w Manresie.

- Ach! - zawołała Roseta z przerażeniem. - Opowiadajcie, jak to było.

- Było tak. Przyjechał powóz, z którego wysiadł urzędnik sądowy. Udał się naprzód do pana Corteja, później zaś do doktora. Po chwili doktor wraz z urzędnikiem odjechał w kierunku Manresy.

- Trzeba zaprząć natychmiast parę dobrych koni!

Po tych słowach Roseta pobiegła do mieszkania notariusza. Siedział sam nad plikiem akt. Ponieważ hrabianka odwiedzała go bardzo rzadko, powitał ją ze zdziwieniem:

- Co za zaszczyt, hrabianka Roseta! Proszę siadać - usłużnie podsunął krzesło.

- Nie chcę wcale siedzieć. Przyszłam tylko, aby zapytać, czy nie widział pan doktora Sternaua. Podobno wyjechał?

- Nic o tym nie wiem.

- Podobno wyjechał w towarzystwie urzędnika sądowego?

- I o tym mi nic nie wiadomo.

- Więc senior nic nie wie, że corregidor był w Rodrigandzie, że pana odwiedził?

- Nie.

- To kłamstwo, bezczelne kłamstwo!

- Hrabianko - w głosie Corteja brzmiała groźba.

- Jak pan śmie mówić do mnie takim tonem! Jadę do sędziego, żeby się dowiedzieć prawdy. Jeżeli przekonam się, że to znowu jakieś pańskie szelmstwo, rozprawię się z panem i z jego bandą.

Wyszła. Cortejo stał jak skamieniały. Gdy wsiadła do powozu i odjechała, poszedł do swoich sprzymierzeńców.

- Pojechała - rzekła Clarisa. - Czy wiesz dokąd?

- Wiem. Do Manresy, aby zasięgnąć w sądzie informacji o swoim przyjacielu.

- Zaczyna być niebezpieczna.

- Postaram się temu zaradzić. Trzeba jej będzie podsunąć kilka kropel trucizny, ale jak?

- Daj mi truciznę, a to załatwię. Wleję przy podwieczorku do herbaty.

- Dobrze, dostaniesz truciznę.

- A honorarium? Odparł niecierpliwie:

- Otrzymasz połowę majątku.

- Tylko tyle? A co się stanie z drugą połową?

- Tę ja zabiorę dla Alfonsa.

- No, w porządku. Tylko postaraj się prędko o krople. Cortejo wrócił za chwilę i wręczył jej flaszeczkę.

Przybywszy do Manresy, Roseta udała się do mieszkania urzędnika sądowego. Przywitała ją małżonka gospodarza i zaprosiła do najokazalszego pokoju.

- Czy mąż pani w domu?

- Niestety, nie ma go, hrabianko.

- Czy wyjechał?

- Tak. W jakichś sprawach urzędowych, bo wziął ze sobą czterech uzbrojonych ludzi.

- Ach, tak - Roseta zbladła. - Nie wie pani, dokąd mąż pojechał?

- Nie, tego nie wiem. Mój mąż nie zwykł mnie wtajemniczać w swoje sprawy służbowe.

- I nie wie seniora, co go skłoniło do wyjazdu?

- Prawdopodobnie don Alfonsa, brat pani, hrabianko.

- Alfonso? A więc był tutaj?

- Tak, przyjechał konno. Bardzo mu było spieszno.

- Czy mąż nie powiedział pani, kiedy wróci?

- Nie.

Roseta wróciła do Rodrigandy. Wiedziała już, że stało się coś niedobrego. Kazała poprosić do siebie brata. Alfonso uprzedzony przez notariusza, wszedł do pokoju siostry zupełnie spokojny.

- Byłeś dziś w, Manresie, prawda?

- Tak - odparł obojętnie.

- W jakiej sprawie?

- W jakiej miałem być? W tej, która pochłania nas przez cały dzień.

- Jak to mam rozumieć? - zapytała ostro.

- No, w sprawie zwłok.

- Aha. Ale dlaczego kazałeś urzędnikowi sądowemu zabrać czterech uzbrojonych ludzi?

- Ponieważ są poszlaki, że ktoś rzucił trupa w przepaść, zarządziłem więc, aby uzbrojeni ludzie szukali złoczyńców w okolicy - łągał beczelnie Alfnoso.

Roseta uwierzyła. Zapytała jeszcze:

- Czy nie widziałeś Sternaua? Szukam go na próżno.

- Ja go nigdy nie szukam.

- Możesz odejść.

Alfonso uklonił się i rzekł ironicznie:

- Hrabia Alfonso de Rodriganda nie pozwoli, aby siostra traktowała go jak służącego, i dlatego zostanę tutaj!

- Arogant!

- Nie wiem, dlaczego ci jestem taki niemiły. Czy to twoja imaginacja, czy też czujesz do mnie jaką niechęć? Pogódźmy się, pozwól się uścisnąć. - Po tych słowach zbliżył się do niej, chcąc ją objąć ramieniem, ale Roseta odsunęła się i wymierzyła mu policzek.

- Nie dotykaj mnie! Nienawidzę cię, brzydzę się tobą! Gdybym o tym nie wiedziała, samo postępowanie twoje byłoby dla mnie wystarczającym dowodem, że...

- Że co? - zapytał gniewnie, chwytając się za policzek.

- Że jesteś oszustem, nikczemnym oszustem, a nie moim bratem!

- Nie jestem twoim bratem? Co przez to rozumiesz?

- Powiem ci, kiedy tylko Sternau wróci. A gdyby nie wrócił, zdemaskuję was wszystkich! Cały kraj poruszę!

- Ach tak? - syknął. - Policzek przyjmuję, bo jesteś kobietą, ale za obelgi zapłacisz mi drogo.

Wszedł wściekły, zaprzysięgając Rosecie zemstę. Hrabianka posłała po Elvirę.

- Doktor został aresztowany - powiedziała.

- Aresztowany? Na Boga, za co? Przecież nie mógł uczynić nic złego, to najzaczniejszy człowiek na świecie. O, gdyby pani wiedziała, jak on tam nad przepaścią chwycił za kark hrabiego Alfonsa!

- Nic mi o tym nie mówił.

- To nie wszystko. Kiedy tak trzymał hrabiego jak jakiegoś psiaka, oświadczył, że Alfonso musi udowodnić, iż jest synem hrabiego Manuela. Mój Alimpo słyszał to na własne uszy.

- Naprawdę?

- Wielu już się tego domyślało. Pan porucznik...

- Co z panem porucznikiem?

- Pan porucznik jest taki podobny do naszego pana. Te same oczy, ten sam głos. Czy pani nie zauważyła tego?

- Ależ tak. Zresztą ojciec mój spojrzawszy na niego, wziął go za swego syna.

- Ale czy jest nim?

- Doktor utrzymuje, że tak. Wie nawet, iż uprowadzono go na statek.

- Dlaczego?

- Aby nie zdemaskował oszustów. Ale o tym później pomówimy. Przyjdź do mnie wieczorem, wypijemy razem herbatę.

Wieczorem tego samego dnia jakiś jeździec zatrzymał się na brzegu lasu. Zeskoczywszy z konia, przywiązał go do drzewa i poszedł do zamku. Tu polecił służącemu, aby zameldował go notariuszowi.

- Kim pan jest? - zapytał służący.

- Nie powiem swego nazwiska, będzie to niespodzianka. Jestem przyjacielem seniora Corteja.

Służący zameldował nieznanego. Cortejo był sam w gabinecie i polecił, aby przybysza wpuszczono.

- Podał się senior za mego przyjaciela, ale ja nie znam pana - rzekł.

- Nie? Za chwilę mnie pan pozna!

Po tych słowach zdjął przyprawioną brodę i perukę.

- Kapitan! - zawołał notariusz.

- We własnej osobie. Przyszedłem zapytać pana, gdzie jest porucznik de Lautreville.

- Nie wiem.

- To nieprawda. Wie senior doskonale, sprzątnięto go przecież.

- Nie moja to sprawa.

- O, przeciwnie. Pragnął pan, abym ja go zabił.

- Dość tego. Czy przyzna pan, że ten porucznik to hrabia Alfonso de Rodriganda?

- Tak.

- Dlaczego został tutaj przysłany?

- To moja rzecz.

- Czy wiedział, kim jest?

- Nie. Ale gdzie on jest teraz?

- Nie żyje.

Rozbójnik cofnął się o krok. Przy tym ruchu spadł mu na ziemię płaszcz, odsłaniając broń za pasem.

- Nie żyje? - zawołał. - Zapłacisz mi za to! Opowiem wszystkim, jakim łotrem jest Gasparino Cortejo!

- Tylko spokojnie. Jesteś przecież moim współnikiem!

- Zaniosę do sądu rewera, który pan podpisał. Przyniosłem go ze sobą, aby na jego podstawie wydostać porucznika. Mów senior więc, czy naprawdę nie żyje.

Przez twarz notariusza przemknął uśmiech zadowolenia.

- Pokażę panu list, który w tej sprawie otrzymałem. Niech pan tu chwilę zaczeka.

Wszedł do przyległego pokoju i wyciągnął z biurka nabity pistolet oraz jakieś pismo.

- Świetnie się składa - szepnął do siebie. - Otrzymam z powrotem mój rewers i pozbędę się niebezpiecznego świadka.

Wrócił do gabinetu.

- Chcę jednak mieć pewność, że ma pan ten rewers przy sobie - zwrócił się do rozbójnika.

- Ależ mam go - odparł tamten.

- Niech więc pan czyta!

Podał kapitanowi list. Rozbójnik otworzył go i od razu zauważył, że nie ma żadnego związku z porucznikiem. Kiedy zdziwiony podniósł wzrok na notariusza, ujrzał lufę rewolweru skierowaną na siebie.

- Giń, psie parszywy! - zawołał Cortejo.

Padł strzał. Rozbójnik zwałił się na ziemię. Kula przebiła mu czoło.

Cortejo zamknął drzwi na klucz i zaczął przeszukiwać kieszenie zamordowanego. Nic w nich nie znalazł.

- Oszukał mnie, nędznie oszukał! Jestem zgubiony, jeżeli jego ludzie mają ten rewers!

Na korytarzu rozległy się kroki. Cortejo uporządkował gorączkowo kieszenie rozbójnika, przyprawił mu brodę, nałożył perukę i wyciągnąwszy zza pasa rewolwer, rzucił go na ziemię. Dopiero wtedy otworzył drzwi i zawołał:

- Na pomoc! Napadnięto mnie!

Nadbiegła służba, a wraz z nią hrabia Alfonso, Clarisa i Alimpo.

- Spójrzcie na tego człowieka - oświadczył Cortejo. - Zameldował się jako mój przyjaciel, a kiedy zostaliśmy sami, zaczął grozić, że mnie zabije, jeżeli mu nie dam pieniędzy. Udałem, że mu je daję, chwyciłem jednak za rewolwer i zastrzeliłem go jak psa.

- O mój Boże, to rozbójnik, prawdziwy rozbójnik! - biadała Clarisa. - Spójrzcie tylko na tę brodę i na perukę!

- Przeszukajcie go dokładnie - polecił Cortejo w nadziei, że znajdzie się jeszcze jego rewers. Nie znaleziono jednak nic oprócz broni palnej i pełnej sakiewki.

- Zanieście go do jednej z piwnic, jutro zawiadomię władzę. I doprowadźcie pokój do porządku.

Gdy służba wypełniwszy polecenie odeszła, a nierozłączna trójka została sama, Alfonso zapytał:

- Czy znałeś tego człowieka?

- Nie.

- A może to ten kapitan, o którym nieraz mówiłeś? Może miałeś z nim jakąś sprzeczkę?

- Nie znam go. Ale czy pijemy dzisiaj herbatę z hrabianką?

- Nie - odparła Clarisa. - Będzie ją piła w swoim pokoju.

Z tonu odpowiedzi notariusz wywnioskował, że najwidoczniej już wlała truciznę do herbaty.

Gdy padł strzał, hrabianka siedziała w swoim pokoju z Elvirą, która właśnie przyniosła jej z kuchni herbatę.

- Co to za hałas? - zawołała Elvira.

- Ktoś strzelił. Trzeba zobaczyć, co się stało.

- O nie, hrabianko, nie puszczę pani! Boję się jakiego nieszczęścia, proszę tu zostać!

- Nie boję się niczego. Zdaje się, że strzał padł w pokoju Corteja. Czy słyszysz kroki i głosy?

- Tak, ale zostanmy tutaj. Mój Alimpo na pewno poszedł zobaczyć, co się stało i opowie nam o wszystkim.

Po chwili rzeczywiście zjawił się Alimpo z wiadomością, że Cortejo zastrzelił rozbójnika, który na niego napadł.

Roseta, wypiwszy herbatę, oświadczyła, że idzie spać, gdyż bardzo boli ją głowa.

Następnego ranka do pokoju Elviry wpadła z płaczem służąca hrabianki.

- Niech pani idzie ze mną do condesy! Natychmiast! Hrabiance coś się stało, musi być chora.

- Już wczoraj skarżyła się na ból głowy.

Gdy obydwie weszły do pokoju hrabianki, Roseta klęczała przy łóżku śmiertelnie blada.

- Condeso, proszę wstać - prosiła Elvira. Roseta nie ruszyła się z miejsca.

- Tak ją znalazłam - płakała służąca - gdy weszłam do sypialni, aby ją obudzić. Podniosłam ją, posadziłam na krześle, a teraz znowu klęczy.

Wzięły hrabiankę pod ręce i zaprowadziły na kanapę, ale Roseta znowu zeszła z niej, uklękła przed łóżkiem i złożyła ręce do modlitwy.

- Chora, bardzo chora - Elvira zalewała się łzami. - A naszego doktora nie ma!

- To straszne, co począć? - biadała służąca.

- Zawołaj mego Alimpo!

Dziewczyna sprowadziła rządcę. Hrabianka klęczała ciągle przy łóżku.

- Połóżcie ją do łóżka i róbcie zimne okłady, może to jej ulży - polecił Alimpo zapłakanym kobietom i opuścił pokój. Na korytarzu spotkał Clarisę.

- Czy był pan u hrabianki? - zapytała.

- Byłem.

- Już wstała?

- Jest chora.

- Co jej dolega?

- Nie wiem.

- Pójdę tam, by ją pocieszyć.

Weszła do sypialni Rosety, ale już po chwili wybiegła i jak bomba wpadła do pokoju notariusza.

- Udało się! Straciła zmysły!

- Co robi?

- Modli się.

- Głośno?

- Nie. Klęczy przed łóżkiem z rękami złożonymi do modlitwy i milczy. Widać oszalała kompletnie.

- Aha, postradała zmysły podczas modlitwy, więc będzie cały czas myślała o niej.

Po tych słowach Cortejo udał się z Clarisą do apartamentów hrabianki i oświadczył służącej i Elvirze, że pani Clarisa obejmie opiekę nad chorą. Od tej chwili Roseta była odcięta od świata, nie dopuszczano do niej nikogo.

W kilka dni po zachorowaniu hrabianki Midrello powrócił z podróży, którą przedsięwziął z polecenia Sternaua. Zaraz po powrocie odwiedził rządcę, aby zasięgnąć języka o doktorze.

Alimpo siedział w pokoju z małżonką. Oboje byli bardzo zasmuceni.

- To nie do zniesienia - wzdychał Juan.

- To straszne - jęczała Elvira.

- Najlepiej zabrać nasze oszczędności i pójść gdzie oczy poniosą.

- Ale dokąd?

- Wszystko mi jedno, byle jak najdalej stąd.

- Czy słyszałeś, że condese mają stąd zabrać?

- Tak.

- Nie opuszczę jej, pójdę za nią choćby na kraj świata.

- Czy ci pozwolą jej towarzyszyć?

- Na pewno nie pozwolą. To okropne! Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Mindrello.

- Witaj! - zawołał Alimpo. - Jesteśmy zrozpaczeni. Stało się okropne nieszczęście! Nie mamy nawet przed kim żalu swego wylać, nieprawdaż, Elviro?

- Prawda, mój drogi.

- Macie przecież na zamku przyjaciół.

- Tak, mamy, ale nie rozmawiają z nami. Boją się młodego hrabiego i seniora Corteja.

- Czy oni zabronili ludziom na zamku utrzymywać z wami kontakty?

- Niby nie zabraniali, ale popadliśmy w niełaskę i ludzie od nas stronią.

- Popadliście w niełaskę? Dlaczego?

- Ponieważ nie chcieliśmy oddać cierpiącej hrabianki w obce ręce, a pielęgnowaliśmy ją sami. Gdy nas usunięto, próbowaliśmy mimo to dostać się do niej. W rezultacie pozbawiono mnie stanowiska. Mam w najbliższej przyszłości opuścić zamek.

- Czy nie wiecie, gdzie jest doktor Sternau?

- Nie mamy pojęcia. Gdzieś przepadł.

- Przepadł?

- Tak. Nikt nie wie, gdzie jest i co się z nim stało. Ktoś zabrał go powozem i od tego czasu ślad po nim zaginął.

- Muszę go odnaleźć. No, teraz już idę, żeby nie zorientowano się, że was odwiedzam.

Wróciwszy do domu, Midrello głowił się, w jaki sposób odszukać Sternaua. Po pewnym czasie dowiedział się, że tego i tego dnia w kierunku Barcelony jechał powóz eskortowany przez pięciu uzbrojonych strażników i że powóz ten zatrzymał się przed więzieniem. Po długich staraniach udało mu się wydobyć od dozorca, że w więzieniu znajduje się niejaki doktor Sternau. Postanowił więc porozumieć się z rządcą, który tymczasem wraz z żoną opuścił zamek i zamieszkał w Manresie. Przyjęto go serdecznie.

- Chwała Bogu, że pan przyszedł. Sądziliśmy już z moją Elvirą, że zapomniał senior o przyjaciółach.

- Skądże znowu. Pracowałem przez cały czas nad tym, aby uwolnić naszego doktora.

- Wie pan więc, gdzie on jest?

- Został uwięziony w Barcelonie.

- Uwięziony? Słyszysz, Elviro?

- Tak, słyszę. To z pewnością sprawka Corteja.

- Na pewno. Kiedy go wypuszczą?

- Jeżeli go nie uwolnimy, chyba nigdy.

- Co możemy uczynić?

- Wiele i nic. Czy macie pieniądze?

- Ile?

- Trzeba ich sporo.

Alimpo otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej kilka pełnych sakiewek oraz portfel.

- Bierz senior, to wszystko! - zawołał. - Mam dosyć pieniędzy.

- Ile tego będzie?

- Cztery do pięciu tysięcy. To nasze oszczędności. Dajemy je chętnie dla doktora Sternaua.

Prawda, Elviro?

- O, tak! Oby tylko był wolny. Może uleczy naszą biedną hrabiankę.

- Gdzie ona jest teraz? Może w szpitalu?

- Nie, w Lorisie, w klasztorze świętej Weroniki.

- Przecież powinna być w lecznicy, a nie w klasztorze!

- Co można na to poradzić? Seniora Clarisa ją tam wywiozła. Hrabianka jest zupełnie bezwolna.

Mindrello zapytał po chwili namysłu:

- A więc wierzycie, że doktor Sternau potrafi ją uleczyć?

- Bez wątplenia.

- Obejrzę sobie ten klasztor. Mogę dysponować pieniędzmi, senior Alimpo?

- Może pan wziąć wszystko.

- Muszę mieć konia dla siebie i dla doktora. Dajcie mi dwieście duros.

- To za mało, pięćset.

- Chwiliwo nie potrzeba mi więcej.

Wziąwszy pieniądze, Mindrello pojechał do klasztoru w Lorisie, odległego o dwie godziny drogi od Manresy. Dowiedział się tam, że hrabianka z nikim nie rozmawia, nic prawie do ust nie bierze, modli się cały dzień na cmentarzu, wieczorami trzeba ją stamtąd siłą zabierać do celi. Jest jeszcze piękna, ale pięknością tych, którzy bliscy są śmierci.

Zasięgnąwszy tych informacji, Mindrello pojechał dalej, do Barcelony. Tu kupił konia dla Sternaua, dla siebie zaś muła.

Minęło kilka tygodni. Za grube pieniądze wystarał się o fałszywe papiery na nazwisko lekarza sądowego. Sprawił sobie stosowne ubranie i nadawszy obliczu odpowiedni wyraz dzięki wąsom i peruce, stawił się w więzieniu. Strażnik skontrolował dokumenty i wpuścił rzekomego lekarza. W sieni udało się Mindrellowi zabrać jeden z kluczy od bramy.

Wiadomo już, jak Sternau obezwładnił strażnika i uciekł z więzienia. Mindrello tymczasem wraz z mułem i koniem czekał na drodze do Manresy, pewien, że Sternau będzie uciekał w kierunku zamku. Już z daleka Sternau ujrzał konia i muła, a przy nich swego wybawcę. Poznawszy Mindrella, podziękował mu gorąco, wskoczył na konia i pomknęli obaj jak strzały. Sternau rozkoszował się czystym zimowym powietrzem. Po chwili spytał:

- Drogi Mindrello, to condesa ciebie posłała, żebyś mnie uwolnił?

- Nie, senior Alimpo.

- Ale z rozkazu hrabianki, co?

- Nie, condesa jest chora, żadnych rozkazów nie wydaje.

- Chora? - zawołał Sternau przerażony. - Co jej dolega?

- To samo, na co zapadł jej ojciec - wyjąkał Mindrello. Sternau jak rażony piorunem omal nie zwalił się z siodła.

- Czy dobrze słyszę? Oszalała?

- Tak.

- Oszalała?! - krzyknął raz jeszcze. Zatrzymał konia i zapytał głosem, z którego przebijała rozpacz: - Gdzie jest condesa?

- W klasztorze świętej Weroniki w Lorisie.

- A rzekome zwłoki hrabiego Manuela zostały pogrzebane, co?

- Tak.

- Hrabia Alfonso posiadał dziedzictwo?

- Tak.

- Gasparino Cortejo u jego boku?

- Tak.

- A gdzie Clarisa?

- W klasztorze razem z hrabianką.

- A rządca?

- Mieszka w Manresie. Wgnano go. To on dał mi ten portfel, który panu wręczyłem w więzieniu, on dał mi pieniądze na zakup konia i muła. Da seniorowi jeszcze, ile tylko będzie potrzeba.

Sternau milczał. Oszłomiło go to, co usłyszał od Mindrella. Ciszę przerwał przemytnik:

- Mam dla pana i dobrą wiadomość.

Sternau nie reagował, był jak we śnie. Dopiero gdy Mindrello kilkakrotnie powtórzył te słowa, powiedział z goryczą:

- Dobrą wiadomość? Nie wierzę, by mnie mogło jeszcze spotkać coś pomyślnego.

- Nie pyta pan wcale, jak wywiązałem się z polecenia, aby odszukać hrabiego Manuela?

Sternau ożywił się.

- Pod wpływem tej okropnej wiadomości o hrabiance uleciało mi to z pamięci. Co więc wiesz o nim?

- Po prostu znalazłem hrabiego Manuela.

- Znalazłeś hrabiego? - Sternau tak mocno ściągnął cugle koniowi, że ten stanął dęba.

- Tak, i to bez trudu. Cyganie to wprawdzie spryciarze, ale i my, przemytnicy, nie damy się zjeść w kaszy.

- Opowiadaj, słucham!

- Natrafiłem na ich ślad, bo przecież wielki tabor nie może zginąć jak szpilka. Upłynęło jednak sporo czasu, zanim dowiedziałem się, że obozowali w miejscowości Barbastro, a potem jechali przez Huesca i Sanguesa.

- Czy nigdzie nie zatrzymywali się dłużej?

- Skądże znowu. Przede wszystkim starałem się rozpoznać, czy banda jest w komplecie, czy nikt przypadkiem się nie odłączył wraz z hrabią. Ale byli na to za sprytni, żeby obłąkanego zostawiać niedaleko zamku.

- Skąd ta pewność, że hrabia był z nimi?

- Widziałem z daleka, że między wozami jechał powóz. Gdy wieczorami rozbijali namioty, brali go zawsze w środek obozowiska. Jakkolwiek nie widziałem nikogo, mogłem dać głowę, że w powozie znajduje się hrabia.

- No i co dalej?

- Zmierzali w kierunku Pampalony, potem przez góry przeprawili się do Pico de Aspiroz i dotarli do morza. Przed San Sebastian skręcili w bok i rozbili obóz tuż nad brzegiem, niedaleko miasteczka Irun.

- Aha! I tu wsadzili hrabiego na statek.

- Tak, dobrze pan zgadł. Spodziewałem się tego, czatowałem dzień i noc, aby nie przegapić chwili odjazdu hrabiego. Pewnej ciemnej nocy do brzegu przybiła żaglówka. Na szczęście byłem zakopany w piasku w tak korzystnie wybranym miejscu, że widziałem wszystko dokładnie.

- Do diaska! Gdyby cię tam odkryli!

- No to co? Caramba! Mam przecież zawsze przy sobie nóż ostry jak brzytwa, nie powiedziane więc, dla kogo by się to źle skończyło. A więc dwóch ludzi opuściło obóz i szykowało się do wejścia na żaglówkę, którą kierowało dwóch marynarzy. W chwili gdy ten, który wsiadał pierwszy, postawił nogę na pokładzie, łódź się zakołysała, człowiek zachwiał się i opierając o ster zawołał przerażony: „Ja jestem dobry, poczciwy Alimpo”. Ponieważ powiedział mi senior, co prześladowuje hrabiego, zmiarkowałem więc, że to nie kto inny, tylko on.

- Mów dalej!

- Wtedy ten drugi zaklął siarczyście i wskoczył do łodzi. Podciągnięto żagle. Zanim odpłynęli, Cygan zapytał jednego z marynarzy: „Jak długo będzie trwała jazda do Saint Nazaire?” „Przy dobrym wietrze dwa dni”. „A stamtąd do Avranches?” „Trzeba dwóch dni, żeby opłynąć Bretanię. Ale droga jest niebezpieczna, rafy sterczą na dnie morskim.” „To wasze zmartwienie. Płacę dobrze, i kwita. Czy znacie latarnika z Avranches?” „Nie.” „Do niego właśnie jadę. To mój stary dobry...” Nic więcej nie słyszałem, bo łódź odpłynęła z wielką szybkością. Może pan sobie wyobrazić, z jakim napięciem i uwagą słuchałem tej rozmowy. Wróciłem do miasteczka i przede wszystkim wynająłem pokój w oberży. Po nocnych czuwaniach musiałem wreszcie się wypaść. Wiedziałem, że jestem na tropie hrabiego, mogłem więc spokojnie odpocząć.

Sternau ujął Mindrella za rękę i uściśnął ją serdecznie:

- Zrobiłeś wiele dla hrabiego i jego rodziny. Dostaniesz nagrodę. Mów dalej.

- Wypocząwszy w Irun i sprawiwszy sobie nowe ubranie, przekradłem się, nie miałem przecież paszportu, przez granicę. W Bayonne wsiadłem do pociągu. Po dwóch dniach dojechałem przez Bordeaux, Nantes i Rennes do celu podróży i wynająłem sobie mieszkanie w jednym z domków rybackich nad brzegiem morza. Nie spuszczałem oka z latarni morskiej i z jej mieszkańców. Po trzech dniach zauważyłem, że przybył nowy domownik. Spacerując wieczorem pod latarnią, widziałem na jej górnej galerii wysoką, wychudłą postać, spoglądającą w niebo. Następnego dnia chciałem się dostać do środka, ale latarnik imieniem Gabrillon przegnał mnie. Po tygodniu przybyłem do Rodrigandy. Tam dowiedziałem się o pańskim aresztowaniu i o chorobie condesy. Oto wszystko.

Jechali dalej w milczeniu. Po dwóch godzinach ujrzeli z daleka miasteczko Manresa.

- Zostawimy konie w stajni podmiejskiej oberży - powiedział Sternau. - Nikt nas nie może zauważyć, a tym bardziej rozpoznać.

Korzystając z ciemności podkradli się pod domek rządcy. Jego mieszkańcy jeszcze nie spali. Siedzieli przy stole i rozmawiali. Sternau i Mindrello cicho stanęli w drzwiach.

- Drogi doktorze! - rządcza zerwał się z krzesła.

- Więc to senior, kochany pan Sternau - klasnęła w dłonie Elvira. Ujęli jego ręce i zaczęli je ścisnąć gwałtownie.

- No, teraz wszystko się zmieni - Elvira płakała z radości. - Teraz hrabianka zostanie uratowana.

- Uwolnię ją i uzdrowię, przysięgam. Biada mordercom i trucicielom!

Elvira postawiła przed gośćmi suty posiłek. Wygłodzony Sternau pochłaniał go z rozkoszą. Zaspokoiwszy pierwszy głód, powiedział:

- Mamy mało czasu, ale musicie mi zdać dokładną relację, co tu zaszło podczas mojej nieobecności.

Kiedy Alimpo skończył opowieść, Sternau odezwał się po namyśle:

- Hrabianka jest w rękach ludzi, przeciw którym nie mogę wystąpić jawnie, uciekłem bowiem z więzienia. Muszę więc porwać ją z klasztoru, a potem po kryjomu dostać się na zamek, żeby wziąć pewne niezbędne mi rzeczy. Jeszcze dziś przekroczę granicę wraz z hrabianką i stanę się w ten sposób podwójnym przestępcą.

- Dokąd ją senior chce zabrać?

- Przez granicę, przez Francję, do mojej ojczyzny, do Moguncji.

- Pojedziemy razem z wami. Dobrze, Alimpo?

- Dobrze.

- Przecież to się nie da zrobić tak prędko. Macie tu dom, rzeczy.

- Mimo to pojedziemy z wami - rzekł Alimpo. - Nie opuścimy ani pana, ani condesy. Dom ten należy do mego siostrzeńca, który nas z pewnością nie zdradzi. Później sprzeda nasz dobytek i prześle nam pieniądze do Moguncji.

- Więc zgoda.

- Dziękujemy, doktorze! - zawołali jednocześnie.

- Czy senior natychmiast rusza w drogę? - spytał Alimpo.

- Tak.

- Mam jeszcze przy sobie klucz do bocznej furtki zamku.

- Wejdę przez główne wejście. Czy pozostała dawna służba?

- Prawie cała.

- Jeżeli ma pan jakąś broń, Alimpo, proszę o nią.

- Ale nie pójdzie pan sam na zamek - wtrącił Mindrello. - Będę panu towarzyszyć.

- Dobrze. A Alimpo niech się tymczasem przygotowuje do drogi.
- Czy mam sprowadzić powóz?
- Nie. Drogi zawałone śniegiem, więc potrzebne są sanie. Przywiozę je ze sobą.
- Skąd?
- Z Rodrigandy.
- Ależ panie! - krzyknął przerażony rządcą.

- Zażądam po prostu dla hrabianki dwojga sań. Ciekaw jestem, kto się odważy nie spełnić tego żądania. No, chodźmy, Mindrello.

Wziąwszy od Alimpa rewolwer, Sternau wyszedł wraz z przemytnikiem. Poszli po swoje konie i zanim pół godziny minęło, byli w Lorisie. Mindrello skręcił w kierunku kilku budynków, leżących poza miasteczkiem.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytał Sternau.
- Przez mur cmentarny.

Mur miał około dwóch metrów wysokości. Zatrzymawszy się przed nim, ujrzeli po drugiej stronie jakąś ciemną postać klęczącą wśród grobów.

- Kto to może być? - zastanawiał się Sternau. - A może to jakiś posąg?
- Nie, to ona.
- Kto? Hrabianka? Na Boga!
- Ależ tak, to ona.
- W nocy? Na takim chłodzie? Po kolana w śniegu? Przecież zamarznie na śmierć.

Staął na siodle i przeskoczył przez mur. Czy usłyszała jego kroki? Czy go poznała? Nie. Klęczała w głębokim śniegu, zatopiona w modłach. Zmieniona nie do poznania, odziana we włosienicę, z zapadniętymi oczyma i trupią bladością na twarzy. Była to jednak hrabianka.

- Roseto - szepnął drżącym głosem. Nie zareagowała.

Ukląkł przy niej, wziął ją w objęcia, tulił, całował, nazywał najczulszymi imionami - na próżno. Serce wypełniła mu bezgraniczna rozpacz. Ochłonawszy z okropnego wrażenia, podniósł dziewczynę z ziemi i zaniósł pod mur. Tu podał ją Mindrellowi, a sam przelażł przez mur. Umieściwszy Rosetę na siodle przed sobą, ruszył galopem w kierunku zamku. Mindrello popędził za nim. Wkrótce przybyli do wsi. W oberży paliło się jeszcze światło. Sternau zapukał do okna. Po chwili wyjrzała z niego okryta czapką głowa.

- Czego chcecie? - zapytał gospodarz. Sternau przybliżył twarz do okna.
- Nie poznajecie mnie? - zapytał.
- Ależ to senior Sternau!
- Czy chcecie mi wyświadczyć pewną przysługę?
- Oczywiście. A o co chodzi?
- Pójdźcie do alkada i powiedzcie mu, aby wraz z wójtem czym prędzej przybył na zamek.
- W jakim celu?
- Dowiedzą się o tym na miejscu. Ruszyli w dalszą drogę. Oberżysta mruczał:
- Skąd ten Sternau przybywa? Co miał ze sobą na koniu? Wyglądało to, jakby wioził człowieka.

Ten drugi jeździec to Mindrello, który dość dawno nie pokazywał się w okolicy...

Obaj jeźdźcy przybyli przed bramę zamkową. W mieszkaniu odźwiernego paliło się światło. Sternau zapukał.

- Kto tam? W nocy nie otwieram.
- Ależ Enriquo, otworzysz mi chyba?

Na dźwięk głosu Sternaua odźwierny odparł z nietajoną radością:

- To pan, doktorze? Już otwieram!

Sternau wszedł niosąc obłąkaną. Odźwierny, poznawszy hrabiankę, krzyknął przeraźliwie:

- Na Boga! Przecież to condesa!

- Tak, to ona. Czy pokoje jej są w takim samym stanie jak dawniej?

- Nic się tam nie zmieniło. Mam nawet przy sobie klucze od apartamentów hrabianki, gdyż jeszcze nie ma nowego rządcy.

- Weź klucze i prowadź nas.

- Czy mam obudzić hrabiego?

- Nie trzeba, później. Chodźmy.

- A może obudzić służącą condesy?

- Co ona robi na zamku?

- Usługuje seniorze Clarisie, gdy ta przyjeżdża w odwiedziny.

- Obudź ją. Ale nikogo więcej. I zachowuj się cicho. Sternau pragnął się przekonać, jaki wpływ wywrze na Rosecie

widok znajomych pokojów. Posadził ją więc na kanapie, ale Roseta zsunęła się na ziemię i znowu znieruchomiała w modlitwie. Nie zauważyła wcale, że jest u siebie, a nie na cmentarzu w Lorisie. Weszła służąca uradowana widokiem swej pani. Sternau polecił, żeby ubrała ją w suknie odpowiednie do dalekiej podróży. Odźwiernemu rozkazał zwołać całą służbę do jadalni, sam zaś poszedł do mieszkania hrabiego Alfonsa.

Hrabia spał. W pokoju paliła się nocna lampka. Nie zwlekając, Sternau tak mocno uderzył Alfonsa pięścią w głowę, że ten nie obudziwszy się, stracił przytomność. Doktor ściągnął z łóżka prześcieradła i skrępował nimi leżącego, po czym wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz. Udał się teraz do mieszkania notariusza. Drzwi zastał zamknięte, zapukał więc.

- Kto tam? - zapytał po chwili Cortejo.

- To ja, otwórz! - odpowiedział Sternau, naśladowując głos Alfonsa.

- O co chodzi? Nie możesz kiedy indziej? - Cortejo głośno ziewał.

- Nie, śpieszno mi bardzo.

- Otwieram.

Notariusz powoli zszedł z łóżka, narzucił na siebie szlafrok, zapalił lampkę nocną i otworzył drzwi. W korytarzu było ciemno, nie widział więc, kto przed nim stoi.

- Wejdziesz, Alfonso - zapraszał. - Ale co ci wpadło do głowy, że tak późno...

Nagle zaniemówił. Poznał Sternaua, który zamykał drzwi za sobą. Przyglądał się doktorowi w osłupieniu, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Nie poznałeś mego głosu? - spytał lekarz.

- A więc to naprawdę Sternau - wyjąkał Cortejo.

Po tych słowach, wypowiedzianych niemal szeptem, wykonał ruch ku drzwiom, chcąc się ratować ucieczką. W tej samej chwili doktor zdzielił go pięścią w głowę tak mocno, że Cortejo padł nieprzytomny na ziemię. Po chwili Sternau związał go i zakneblował podobnie jak Alfonso. Zamknąwszy i ten pokój, wrócił do hrabianki i wprowadził ją do jadalni, w której *zebrała się* cała służba. Alkad i wójt byli już także.

Zobaczywszy swą panią, służba chciała podejść do niej i przywitać się, lecz Sternau powstrzymał wszystkich i zapytał:

- Czy znacie tę panią?

- Tak - brzmiała jednogłośnie odpowiedź.

- Czy możecie przysiąc, kto to taki?

Zdziwieni tym pytaniem, odpowiedzieli:

- Oczywiście.

- Niechaj więc sędzia powie, kim jest ta kobieta.

- To hrabianka Roseta de Rodriganda y Sevilla.

- W takim razie proszę usiąść tutaj i zaświadczyć mi na piśmie, że ta pani jest hrabianką. Niechaj wszyscy obecni potwierdzą to podpisami.

- Po co, w jakim celu?

- Ludzie złej woli dybią na życie hrabianki, przygotowali ją o szaleństwo. Ponieważ chcę ratować condesę, potrzebne mi jest to oświadczenie z waszymi podpisami.

Sędzia szykował się do pytań, był bowiem poruszony ową tajemniczą historią. Ale Sternau śpieszył się bardzo. Udał się do pokojów, w których mieszkał przed kilkoma miesiącami. Stały nietknięte. W obecności alkada i wójta zabrał ze sobą wszystko, co uważał za konieczne. Potem wrócili do pokoju hrabianki, gdzie sędzia i wójt musieli spisać, co Sternau zabiera. Najważniejsza była dla niego metryka hrabianki i świadectwo chrztu, leżące na jej biurku.

Alkad na próżno chciał się dowiedzieć jakichś bliższych szczegółów. Sternau kazał zaprząć do dwojga sań najszybsze konie. W jedno wsiadł sam z hrabianką, do drugich wskoczył Mindrello. Zostawione na zaniku wierzchowce, na których przybyli, wymienili na wypoczęte konie i pomknęli jak wichur.

Ci, co pozostali w zamku, mieli głupie miny. Nikt nie rozumiał, co się stało, nikt nie wiedział, skąd się wziął tak nagle Sternau i dokąd pojechał z hrabianką. Najbardziej uderzała nieobecność Alfonsa i Corteja. Udano się więc do apartamentów hrabiego. Były zamknięte. A kiedy zaczęto pukać, od wewnątrz rozległy się ciche jęki. Wyważono drzwi. Alfonso leżał na łóżku związany i zakneblowany. Nie wiedział o niczym, co zaszło. Gdy usłyszał, że Sternau był na zamku wraz z hrabianką, ubrał się błyskawicznie i pobiegł do Corteja. I tu drzwi były zamknięte, i tu musiano je wyważać, i tu znaleziono człowieka związanego i zakneblowanego...

Cortejo i Alfonso zarządzili natychmiastowy pościg. Alfonso pojechał zawiadomić policję w Manresie i przedsięwziąć odpowiednie kroki.

Tymczasem Sternau i Mindrello przybyli do Manresy. Trudno opisać radość Elviry i Alimpa na widok hrabianki. Poczciwcy czekali gotowi już do drogi.

- Biorę Elvirę i hrabiankę do moich sań - rzekł Sternau. - Alimpo zaś niechaj jedzie z tobą, Mindrello.

Juan i Elvira pożegnali się z siostrzeńcem i wszyscy ruszyli w drogę w tej samej chwili, w której Alfonso wjeżdżał do miasta. Konie zaprzęgnięte do sań okazały się znakomite, ale w miarę jak droga szła pod górę, a śnieg stawał się głębszy, trzeba było zwolnić biegu. Z nastaniem wieczora konie ledwie trzymały się na nogach. Chcąc nie chcąc podróżni musieli przenocować w samotnej oberży.

Następnego ranka ruszyli w dalszą drogę. Roseta nie poznawała nikogo, modliła się bez przerwy. Gdy nadeszło południe, byli w Pirenejach. Ponieważ konie dobywały już ostatka sił, musiano zatrzymać się przed schroniskiem. Była to zaledwie ciasna, pusta izba. Gospodarz nie mógł im dać nic oprócz kawałka suchego, spleśniałego chleba. Na szczęście Elvira zabrała ze sobą zapas żywności i kilka flaszek wina. Meble schroniska stanowiło parę drewnianych stołków i długi stół, przy którym obok gospodarza siedział człowiek o podejrzanej powierzchowności. Miał na sobie skórzane spodnie, wysokie buty, zniszczoną kurtkę, na której zamiast guzików był szereg starych miedzianych monet, oraz podarty i zmięty kapelusz. Za pasem obok długiego noża tkwiły dwa wielkie rewolwery, a o kolana oparł strzelbę starego typu. Na podłodze leżał jeden z tych psów pirenejskich, podobnych do niedźwiedzi, któremu nie potrafi dać rady nawet trzech dorosłych mężczyzn.

Tajemnicza postać na widok przybyszy usunęła się w kąt. Gdy jednak do schroniska wszedł Mindrello i skinął na niego, nieznajomy niezwłocznie wyszedł z przemytnikiem przed dom.

Potoczyła się następująca rozmowa:

- Skąd przybywasz w tak wytwornej kompanii?

- Z Manresy.

- Masz własne sanie?

- Jak widzisz.

- Dokąd podążacie?

- Do Foix.

- Czy to twoi przyjaciele?

- Tak, są pod moją opieką.

- Niech więc jadą dalej w imię Boże. Mam nadzieję, że nie wejdą nam w drogę.

- Co złego mogliby wam uczynić?

- Mogliby nas zdradzić. Czekamy na transport towaru, który ma przybyć z tamtej strony.

Spodziewamy się go wieczorem. Jest nas tu w stodole trzydziestu. Gdyby twoi towarzysze donieśli o tym Francuzom, stracimy łup.

- Nie bój się. Nic nie zauważą. Zostaniemy tu najwyżej pół godziny.

Po tych słowach Mindrella przemytnik uspokoił się, wrócił do izby i siadł u końca stołu. Przybysze w ogóle go nie interesowali, ale gdy Alimpo zaproponował mu szklankę wina, wypił ją z przyjemnością.

Upłynęło okonkę pół godziny, gdy nagle rozległ się tętent kopyt końskich i jakieś okrzyki. Stojąca w oknie Elvira zbladła, załamała ręce i krzyknęła:

- Santa Madonna! To policja! Alimpo podszedł do okna.

- Corregidor z Manresy jedzie z nimi - dodał.

- Tak?! Doskonale - ucieszył się Sternau.

- To szaleństwo, doktorze - przeraził się Alimpo. - Musimy zaniechać obrony, ich jest około dwudziestu.

- Mimo to będę walczył.

Naraz nieznajomy podniósł się ze swego kąta.

- Niech się senior nie obawia niczego! Biorę was pod swoją opiekę.

Sternau ze zdziwieniem spojrział na nieznajomego.

- Kim pan jest?

- Waszym przyjacielem. Czy nie widzicie, że Mindrello gdzieś znikł? To mój dobry znajomy.

Zaraz sprowadzi odsiecz. Siedźcie spokojnie i nie bójcie się.

Juan Alimpo i Elvira zaszyli się w najdalszy kąt izby. Sternau usiadł przy stole i trzymając broń w pogotowiu nasłuchiwał.

- To oni z pewnością - odezwał się ktoś na dworze.

- Tak, to sanie i konie hrabiego.

- Dostaniemy, co nam się należy.

- Zsiadać z koni! Wejść do schroniska! - rozkazał czyjś głos. Był to głos corregidora z Manresy.

Drzwi się otworzyły na oścież. Do izby wszedł urzędnik w towarzystwie kilku policjantów.

- A, pan doktor Sternau! Więc znowu się spotykamy.

- Tak, spotykamy się - powiedział Sternau z lodowatym spokojem.

- Nie spodobała się panu Barcelona? Uciekł senior? Bardzo żałuję. Obciążył pan sumienie nowymi przestępstwami.

- Jakie to przestępstwa?

- Urowadzenie oraz napad rabunkowy na mieszkańców zamku.

- To brzmi groźnie - przyznał Sternau z ironią.

- No, niech się senior nie uśmiecha. Widzi pan te kajdany? Zakuję w nie seniora i zabiorę z powrotem do Barcelony.

- Niech pan tylko spróbuje - Sternau podniósł się zza stołu. Urzędnik cofnął się o kilka kroków.

- Ostrzegam pana, doktorze, że mam tu czterech uzbrojonych ludzi, a pod domem stoi jeszcze piętnastu. Opór na nic się nie zda.

- Tego nie przypuszczam - rozległo się z kąta.

Nie ukrywając zdziwienia, urzędnik zapytał:

- Kto tu śmie zabierać głos?

- Jestem przyjacielem tych ludzi - odpowiedział nieznajomy ze stoickim spokojem.

- Więc pomagał senior tym ludziom?

- Dotychczas nie, ale od tej chwili będę po ich stronie.

- Wobec tego i pana aresztuję.

- Albo ja was - roześmiał się nieznajomy.

- Mnie? - oburzył się przedstawiciel władzy. - Jak śmiesz stroić żarty ze mnie?

- Odwróć w tył głowę!

Urzędnik obejrzał się i znieruchomiał. Wrosli w ziemię również czterej policjanci, gdyż w otwartych drzwiach ujrzeli kilkanaście luf skierowanych na siebie. Przed schroniskiem stała gromada ludzi ze strzelbami wycelowanymi w policjantów stojących przy saniach.

- No i co? - zapytał przemytnik. - Jak się to wam podoba? Muszę zresztą powiedzieć, że karabiny moich ludzi nie są mi nawet tak bardzo potrzebne. Przypatrzcie się temu psu. Na jedno moje słowo rozerwie was wszystkich pięciu na kawałki. My tu w górach wiemy, jak poczynać sobie z takimi, jak pan.

- Na Boga! Jesteśmy zgubieni - jęknął corregidor.

- Tak, to prawda. Wasi ludzie nie mają jeszcze pojęcia o tym, co się dzieje. Chodzi o wasze życie. Czy będziecie posłuszni?

- Co mam uczynić? - spytał urzędnik.

- Rozkażcie swoim ludziom złożyć broń i oddać nam konie.

- To niemożliwe! - krzyknął przerażony corregidor.

- Moi ludzie słyszą każde słowo, które tu mówimy. Liczę do trzech. Jeżeli do tego czasu nie stanie pan w oknie i nie wyda rozkazu, którego żądam, tuzin kul przebije wasze głowy. Jest nas trzydziestu, więc nikt z was nie ucieknie. A więc: raz... dwa...

Zanim zdążył powiedzieć trzy, przedstawiciel władzy skoczył ku oknu, otworzył je i krzyknął:

- Złożyć broń!

p>Policjanci stali nieruchomo, nie rozumiejąc przyczyny dziwnego rozkazu.

- Na miłość boską, złożcie broń! - powtórzył. - Złóżcie ją na sanie.

- Dlaczego? - padło pytanie.

- Ponieważ jesteśmy otoczeni bandą przemytników, którzy wystrzelają nas, jeżeli ich nie usłuchamy.

W tej samej chwili dwudziestu przemytników wymierzyło dwadzieścia luf w policjantów.

- Poddajcie się, poddajcie! - krzyknął urzędnik.

- Czy puścicie nas wolno? - zapytał jeden z policjantów.

- Tak.

Policjanci złożyli broń, oddali konie i zaczęli się wymykać. Gdy urzędnik chciał pójść również w ich ślady, przemytnik zatrzymał go:

- Stój, drabie! Mam do ciebie mały interes.

- O co chodzi?

- Wkrótce się o tym dowiesz - po czym zwrócił się do Sternaua i zapytał: - Mam wrażenie, że senior nie bardzo jest z tego pana corregidora zadowolony?

- Wrażenie słuszne - odrzekł Sternau.

- Czy tylko dlatego, że chciał pana teraz aresztować, czy też z innych jeszcze powodów?

- Z innych powodów. Przyjechał raz do mnie, żeby mnie zawieźć do pewnej damy. Był to podstęp, gdyż zawiózł mnie do więzienia w Barcelonie, gdzie trzymano mnie niewinnego przez kilka miesięcy.

- Musi więc za to zapłacić. Dajcie mu pięćdziesiąt tęgich, siarczystych batów!

Za chwilę krzyk urzędnika oznajmił, że polecenie wykonywano solidnie.

Sternau chciał podziękować przemytnikom, ale niechętnie słuchali słów wdzięczności, a pieniędzy w ogóle nie przyjęli. I tak obłowili się suto: zdobyli broń i konie.

LATARNIK GABRILLON

Wody zatoki St. Malo wznają się głęboko w ląd Normandii. Nad zatoką leży na wzgórzu miasteczko Avranches. Na wzgórzu tym zbudowano w roku 1848 jedną z tych drewnianych latarni morskich, które ostrzegają okręty przed niebezpiecznymi brzegami Normandii. Latarnik nazywał się Gabrillon. Był to odludek i dziwak. Nie miał ani żony, ani dzieci, mieszkała z nim tylko zgrzybiała, głucha baba, która opuszczała latarnię jedynie wtedy, gdy trzeba było przynieść panu pieniądze lub porobić zakupy.

Dawniej bywało, że obcy odwiedzali latarnię, z której roztaczał się wspaniały widok na ocean. Z biegiem lat jednak Gabrillon stał się tak szorstki, że podróżnym odeszła ochota zwiedzać latarnię. Nikt w okolicy nie mógł pojąć przyczyny, dla której Gabrillon tak zhardział. Dopiero później kilku starych rybaków, którzy nocami wyprawiali się na połów, rozniosło wiadomość, iż w nocy na krużganku latarni zjawia się wysoka, chuda postać, szepcząca po hiszpańsku czy w jakimś podobnym języku krótkie żalosne zdania. Na podstawie tych wieści narodziło się wśród przesądnych mieszkańców wyspy przekonanie, że Gabrillon zawarł pakt z diabłem, który go często w nocy odwiedza, i od tego czasu zaczęto jeszcze bardziej unikać latarnika. Tylko mer miasteczka nie podzielał tego zdania, bo Gabrillon był u niego i oświadczył mrukliwie, iż trzyma u siebie w latarni starego latarnika chorego umysłowo. Mera bawiło ogromnie, że całe miasteczko uważa biednego obłąkańca za syna piekieł.

Było piękne popołudnie zimowe. Poprzedniego dnia szalał sztorm; morze niezupełnie się jeszcze uspokoiło, ale powietrze było czyste i świeże. Nad morzem krążyły mewy i albatrosy, połyskując w słońcu jak srebro.

Na stację Avranches przybył pociąg z Paryża. Wśród podróżnych był przystojny, wykwintnie ubrany mężczyzna. Wsiadłszy, zaczął rozglądać się po peronie, jak gdyby kogoś szukał. Po chwili podszedł do niego jakiś człowiek, sądząc po ubiorze Hiszpan, i obaj weszli do poczekalni.

- Czy mogę wiedzieć, jak się ma condesa? - zapytał Hiszpan.
- Jestem zadowolony. Poprawiła się bardzo w ciągu tych kilku dni.
- A jej zmysły? Czy poznała pana...? Sternau zasepił się i odparł:
- Nie, nie mam odwagi zastosować odtrutki. Hrabianka jest jeszcze zbyt słaba. Zaczekam z tym, aż ją zawiozę do Moguncji. Ale do rzeczy. Czy hrabia jest u Gabrillona?
- Z pewnością. Latarnik nie wpuszcza nikogo na wieżę.
- Więc idziemy do mera.
- A potem?
- Potem przy pomocy mera zabierzemy hrabiego i zawieziemy do córki, do Paryża.

Mer siedział w swym biurze. Przyjął ich bardzo grzecznie:

- Czym mogę panom służyć?
 - Pewną drobną informacją, monsieur. Kto zabronił ludziom wstępu do latarni morskiej? - zapytał Sternau.
 - Nic mi o tym nie wiadomo, by wstęp był wzbroniony.
 - Przypuszczam, że ta sprawa w każdym razie do pana należy.
 - Oczywiście. Od kogo pan słyszał o podobnym zakazie?
 - Od latarnika - wtrącił Mindrello.
 - Ten Gabrillon to dziwny człowiek, mizantrop. Nie lubi, kiedy go kto niepokoi.
 - Nie rozumiem, dlaczego z tego człowieka, bynajmniej nie przeciążonego pracą, taki wygodniś.
- Mniejsza jednak, nie to mnie obchodzi. Podobno w latarni mieszka jeszcze jakiś starszy pan,

obłąkany. Czy wie pan, kto to taki?

- To krewny Gabrilla.

- Krewny?

- Tak, szwagier czy jakiś kuzyn.

- Jak się nazywa, skąd pochodzi?

- Jak się nazywa? - urzędnik był zakłopotany. - Tego dokładnie nie wiem. Gabrilla zameldował go wprawdzie, ale papierów żadnych nie przedłożył.

- Dziwne, że pan się takim meldunkiem zadowolił.

- Ma pan rację. Trzeba się będzie tym zająć. Przy nawale roboty umknęło mi to zupełnie z pamięci.

- Przybyliśmy tu nie tylko po informacje. Prosimy pana o pomoc w pewnej kryminalnej sprawie.

- W sprawie kryminalnej? - mer obrzucił swych gości badawczym spojrzeniem. - Czy chodzi tu o zbrodnię?

- Tak. Powiem krótko. Hrabia Manuel de Rodriganda y Sevilla mieszkając w swym zamku w Hiszpanii, stracił nagle zmysły pod wpływem trucizny pochodzącej z upas. Tym specjałem uraczyli go podstępnie ludzie, którzy bezprawnie chcieli objąć dziedzictwo hrabiowskie. Zaledwie to stwierdziłem, hrabia znikł bez śladu. Później znaleziono jakiegoś trupa. Zbrodniarze utrzymywali, że to zwłoki hrabiego, wykazałem jednak fałszywość tego twierdzenia. Mimo moich protestów pochowano zmarłego jako hrabiego w grobowcu rodzinnym.

- Dalibóg! To prawdziwie kryminalna historia. Ale jaki ja mam związek z tą sprawą? Przecież to się stało w Hiszpanii...

- Proszę słuchać dalej, monsieur. Szczęśliwy traf naprowadził mnie na ślad porwanego hrabiego. Urowadzono go do Francji...

- Kanalie!

- ...kryjówka, w której hrabiego zamknięto, leży w pańskim merostwie.

- Gdzie, na Boga?!

- W latarni morskiej.

- To chyba żarty!

- Nie, to prawda. Postąpił pan bardzo nieostrożnie, nie żądając papierów obłąkanego. Ten rzekomy krewny Gabrilla jest właśnie hrabią Manuelem Rodriganda.

Mer aż się spocił z przerażenia.

- A to paskudna historia - powiedział. - Przesłucham Gabrilla. Ale czy może pan przedstawić dowody, że ten człowiek jest istotnie hrabią Rodriganda?

- Tak. Gdy wpadł w obłąd, stracił zupełnie pamięć pod wpływem trucizny. W jego mózgu zachował się jednak niby na kliszy portret człowieka, który był z nim w pokoju, nim szaleństwo całkowicie opanowało jego umysł. Tym człowiekiem był rządca Alimpo. Dlatego hrabia stale powtarza: „Jestem Alimpo, dobry, poczciwy Alimpo”. Nie wyobrażałem sobie, aby jakiś inny obłąkany mógł ulec tego rodzaju monomanii i te właśnie powtarzał słowa.

- Trzeba by jednak stwierdzić urzędowo, że obłąkany hrabia te właśnie słowa wymawia.

- To przyjdzie nam z łatwością. Oto moje papiery: jestem domowym lekarzem hrabiego.

Zbadawszy dokładnie papiery, mer zwrócił się do Sternaua:

- Jestem do pańskiej dyspozycji. Proszę tylko o takie przeprowadzenie sprawy, abym nie miał przykrości z powodu mego uchybienia.

- Będę się starać. Najlepiej zrobimy, udając się natychmiast na wieżę pod ochroną policji.

- Dobrze.

Po pół godzinie mer, Sternau, Mindrello oraz trzech uzbrojonych policjantów skierowało się przez wybrzeże morskie ku latarni. W pewnym momencie Sternau powiedział:

- Rozdzielmy się teraz. Ja i Mindrello będziemy udawać turystów, którzy chcą obejrzeć latarnię. Co będzie później, zobaczymy.

W towarzystwie przemytnika i policjanta Sternau podszedł do latarni. Główne drzwi, prowadzące na górę, były zamknięte. Zadzwonili. Po jakimś czasie ukazał się w nich latarnik i poznawszy Mindrella, krzyknął ze złością:

- Znowu jesteś tutaj!? Zabieraj się do wszystkich diabłów! Próbował zamknąć drzwi, ale Mindrello nie ustępował:

- Niech pan nie zamyka. Chcę obejrzeć latarnię.

- Już raz powiedziałem, że zakazano. Czy jesteś głuchy?

Chciał drzwi zatrzaskać siłą, gdy naraz stanął przed nim policjant, którego przedtem nie zauważył.

- Kto ci polecił nie wpuszczać tu turystów? Latarnik cofnął się o kilka kroków.

- Czy mam pozwolić na to, żeby pierwszy lepszy włóczęga niepokoił mnie tutaj?

- Czy ten pan wygląda na włóczęgę, grubianinie?! - policjant wskazał na Sternaua. - Z rozkazu pana mera oświadczam, że nie wolno bronić wejścia do latarni. Jeżeli jeszcze raz będziesz komuś wstępy czynił, utracisz służbę. Zrozumiano?

Mindrello i Sternau weszli do latarni. Latarnik, wyprzedzając ich, szybko popędził na schody. Poszli za nim. W izbie na pierwszym piętrze wieży siedziała służąca. Obrzuciła przybyszów złym wzrokiem bazyliuszka. Na trzecim piętrze mieściły się dwa pokoiki. Z jednego z nich, zamkniętego na klucz, dobiegał cichy głos: „Jestem Alimpo, wierny, dobry Alimpo...”

Gabrillon dlatego tak szybko pobiegł na górę, aby zamknąć ten pokój na klucz. Teraz patrzył na przybyszów z ukosa, starając się dociec, czy zwrócili uwagę na dochodzący stamtąd głos.

- Dlaczego zamyka pan chorego? - zapytał Sternau.

- Nie pańska sprawa.

- Widzi mi się, że nieczyste ma senior sumienie.

- Mój panie! - wrzasnął Gabrillon. - Co seniora obchodzi moja rodzina? Jeżeli pan stąd nie wyjdzie, będę zmuszony zrzucić go ze schodów.

- Mnie? - zapytał Sternau lekceważąco. - Gdybym nie brzydził się pana doknąć, połamałbym mu wszystkie kości.

Wyciągnął chustkę, podszedł do okna i zaczął nią machać.

- Co to za znak? - zapytał Gabrillon ogarnięty trwogą. Sternau nie odpowiedział. Po chwili usłyszeli kroki. Zjawił się mer.

- Gdzie jest obłąkany? - zapytał.

- W tamtym pokoju - odparł latarnik.

- Więc to twój krewny? Jak się nazywa?

- Anselmo Marcello.

- Skąd pochodzi?

- Z Varize'y. Kuzyn mój przywiózł go tutaj i obiecał przysłać papiery, ale, niestety, zmarł.

- Dowiem się, czy twój kuzyn istotnie tam mieszkał i czy przywiózł tego człowieka. No, a teraz otwieraj drzwi.

Latarnikowi nie pozostawało nic innego jak spełnić polecenie. Weszli do małej komórki. Na podłodze leżał siennik, a na nim spoczywał obłąkany. Gdy weszli, wstał i żalił się płacząco:

- Ja jestem Alimpo, dobry, poczciwy Alimpo.

- Słyszysz pan? - zapytał Sternau mera.

- Tak, to słowa, o których pan mówił. Ale czy to on?

Sternau podszedł do chorego, ujął go za ręce i rzekł z głębokim wzruszeniem:

- To on bez wątpienia, to hrabia Manuel. Schudł, posiwiiał, ale niewiele się zmienił.

Latarnik poderwał się zdenerwowany:

- Pan się myli! To żaden hrabia, to Anselmo Marcello, którego doskonale znam!

- Milcz, oszuście! - zawołał Sternau. - Panie merze, proszę go aresztować!

Gabrillon udawał zdumienie:

- Mnie aresztować? A za cóż to? Przecież to mój krewny. Gdyby był hrabią, nie utraciłby zmysłów. Oszalał z głodu i nędzy. Przygarnąłem go z litości i spotkałaby mnie krzywda, gdybym za to miał pokutować w więzieniu.

Mer poczuł się dotknięty tą bezczelnością.

- Milczeć! - krzyknął. - Aresztuję cię w imieniu prawa.

- Ale naprzód mnie złapcie, jeżeli potraficie.

Odepchnął z całej siły mera, nie spodziewającego się takiego zachowania i popędził ku schodom. Tu jednak wpadł w ramiona policjantów.

- Trzymajcie go mocno - rozkazał mer. - Ta próba ucieczki dowodzi jego winy. Będzie musiał wszystko wyznać.

Gdy policjanci oddalili się z aresztowanym, mer zwrócił się do Sternaua:

- Ten człowiek gorzko odpokutuje za swoją winę. Ja zaś, gdy tylko wrócę do biura, wyślę meldunek do Rodrigandy, że zamiast hrabiego pochowano inne zwłoki i że hrabia został odnaleziony. Ale kto zajmie się obłąkanym?

- Zabiorę go stąd, będę się starał go wyleczyć.

- Dziś już późno, jutro przystąpię do przesłuchania Gabrillona. Zawiadomię pana, o której godzinie to nastąpi. Może pan zechce być obecny?

Sternau zbadał chorego i stwierdził, że stan jego, aczkolwiek bardzo ciężki, nie jest jednak beznadziejny. Posłał Mindrella do miasta po bieliznę i ubranie dla hrabiego, gdyż to, co miał na sobie, było rozsypującymi się szmatami.

Po całodniowym wypoczynku Sternau, Mindrello i chory hrabia wsiedli do pociągu, który przez ośnieżone wzgórza Normandii zawiózł ich do Paryża.

Przygotowano na podstawie bookini.pl